

№ 6 Rok 1927 Cena 2 zł.

LIT. ART. W. GŁÓWCZEWSKI, WARSZAWA

ALBORIL
Najprzedniejsze mydło pachnące do prania i do mycia

ALBORIL
samodziałający środek do prania

ALBORIL
PŁATKI MYDLANE

„Un Air Embaumé"

RIGAUD PARFUMEUR

PARIS 16, Rue de la Paix



Poleca znane w całym kulturalnym świecie perfumy:
UN AIR EMBAUMÉ - PAS PLUS CHIC
MARY GARDEN - CAMIA - LE LILAS
Żądać wszędzie.

Generalny Przedstaw. na Rzeczpospolitą Polską
Dom Agenturowy HERMAN SZPIGIELMAN
Warszawa, ulica Królewska 29 a — Tel. 210-66

556 — 16

„OD A DO Z"

WIELKI KONKURS
KARYKATUR
72
WYBITNYCH
LUDZI W KARYKATURZE

Cztery nagrody w gotówce 1000 zł 500 zł — 250 zł — 100 zł. Najtańszy i najciekawszy tygodnik ilustrowany

TYGODNIK ILUSTROWANY

30 gr

559

IDEALNA PASTA DO ZĘBÓW

KREM PERŁOWY

IHNATOWICZ — LWÓW

522

POLECANE PRZEZ LEKARZY DO PIELĘGNACJI CERY:
MYDŁA, PUDER I KREM „LA REINE DES CREMES"
i wyroby Roger i Gallet Paris

Dla pielęgnacji włosów i nadania orygin. koloru: REAL HENNE SHAMPOING, oraz najlepsze PERFUMY krajowe i francuskie, jako też wszelkie inne artykuły kosmetyczne poleca
PERFUMERJA JULJUSZA PESZYŃSKIEGO
Lwów, Szajnochy 2. 509

Założona w r. 1898 **Założona w r. 1898**

KRAJOWA WYTWÓRNIA
FORTEPIANÓW, PIANIN I HARMONJUM
poruszana elektrycznemi motorami
MICHAŁ SZKIELSKI
LWÓW — UL. OSSOLIŃSKICH, L. 10
397-7-6



W Ł A S N Y W Y R Ó B
KOŁDRY - MATERACE
Gotowe PRZEŚCIERADŁA pod kołdry od zł. 11·50
„ na pościel „ „ 5·60
„ POSZEWKI „ „ 3·—
540 **PŁÓTNA SZYFONY RĘCZNIKI OBRUSY**

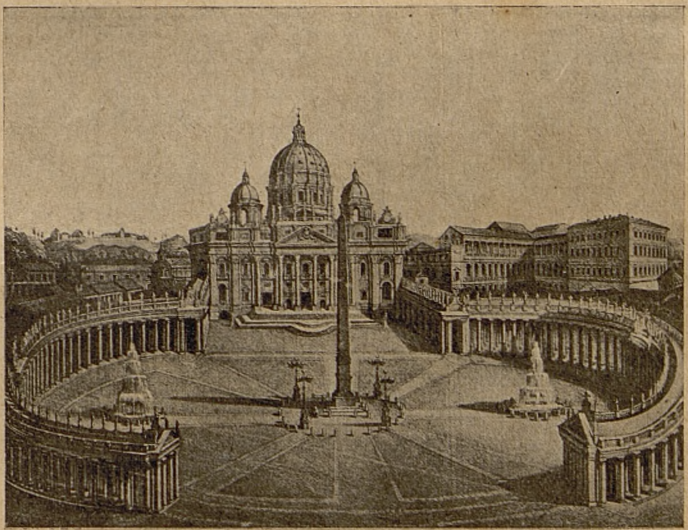
CENY FABRYCZNE
KOCE, KAPY, FIRANKI, DYWANY ITP. najtaniej sprzedaje
FABRYKA POŚCIELI
A. PIETRUSZEWSKI — M. MLEKO
LWÓW, ULICA KORALNICKA, L. 6 — TELEFON 37-72

ŚWIAT KOBIECY

WYCHODZI 1 i 15 KAŻDEGO MIESIĄCA | N—R 6 ROK VII | 15 MARCA 1927 ROKU

PAPIEŻ BŁOGOSŁAWI

OD SCHODÓW, idących do bazyliki św. Piotra, otwierają się na plac przed kościołem dwie potężne kolumnady. W jednej z nich są drzwi bronzowe, zawsze do połowy zamknięte. Stoi tam straż w hełmach, z halabardami, w kostjumach barwnych i groteskowych, jakby z muzeów lub ze starych obrazów. Zdaje się być wartą samego czasu, który za temi drzwiami zwalnia krok i odmierza na swej klepsydrze nie godziny, lecz stulecia. „Porta di bronzo" oddziela od świata mieszkanie człowieka, który nad światem panuje. Broni go nie halabarda szwajcara, nie zgrzytliwa zawora bramy, nie mur i nie twierdza, lecz majestat prawdziwie wielki, który sprawia, że pod temi drzwiami ludzie mówią cicho, jak w kościele. Od rana cisną się tłumy, najwięcej około południa, kiedy papież przyjmuje pielgrzymki. Z nastaniem wieczoru, w głębi wysokiej sieni i w samym portyku zapalają stare latarnie, o świetle mdłem i przyćmionem. Drzwi bronzowe są już teraz tylko uchylone i poza niemi słychać stłumiony krok szwajcarów. Plac św. Piotra zamyka się w czarnej, głębokiej ciszy. — Dom papieża piętrzy się dziwnem zlepiskiem gmachów, o nierównej architekturze, z różnych epok, tworząc pałac o niezliczonej ilości apartamentów, sal, korytarzy i krużganków. Ściany, wybite adamaszkiem, sufity rżnięte w drogocennem drzewie, freski, mozaiki, obrazy, marmury i bronzy, gromadzone od wieków, stanowią niezwykłą dekorację wnętrza, gdzie rozwijała się najfantastyczniejsza historja, — historja papieży, nieprawdopodobny splot istnień ludzkich, następujących po sobie w korowodzie sprzecznych organizacyj umysłowych, od najdzikszych zuchwalców do najpokorniejszych sług bożych. Obok mieszkania papieża, z oknami, zwróconemi na ten sam dziedziniec, stoi muzeum watykańskie, nieodłączna część pałacu. Tysiące marmurów i bronzów opowiadają chwałę pogańskiego świata. Jakże dziwną jest ta biała postać, przesuwająca się między dwoma szeregami nimf, bakchantek, satyrów, erosów, — to ciche wcielenie pokory i błogosławieństwa, idące pod zuchwałem spojrzeniem oczu, znających wszystkie grzechy, pod uśmiechem ust, stworzonych tylko do rozkoszy! — Papież przechodzi tędy do bazyliki św. Piotra. Dzieje się w dniach szczególnych uroczystości, podczas obrzędów kanonizacji lub beatyfikacji. Dla Rzymu jest to zawsze wielkie zdarzenie. Nieprzebrane tłumy zbierają się w kościele, na długo przed oznaczoną godziną. Przy głównym ołtarzu stoją trybuny dla duchowieństwa, zakonów, dyplomacji, gości zaproszonych. Reszta zalega zwartemi szeregami długi pas od drzwi wejściowych do głównego ołtarza. Pomimo obecności kilkudziesięciu tysięcy ludzi, boczne nawy ogromnej bazyliki są prawie puste. Ponieważ kościół na kilka godzin gości jakby całe miasto, urządza się w nawach oddziały sanitarne, z lekarzami i służbą szpitalną. — Gwarno, jak w antrakcie. Pewne uciszenie nastaje wówczas, gdy ozwie się komenda i dźwięk broni: straż papieska tworzy szpaler po obu stronach wolnego przejścia. Zaczyna się oczekiwanie. Spojrzenia kierują się ku kaplicy, przy wrotach wejściowych, zasłoniętej czerwoną kotarą. Wreszcie grają srebrne trąby. Tłum kołysze się całą swoją masą. Jeszcze raz nogi wyprężają się na palcach, głowy wyciągają się w stronę oczekiwanego zjawiska i dziesiątki tysięcy twarzy stygną w napięciu. Upływają długie momenty ciężkiej, jak zmora, ciszy. Nagle urywa ją okrzyk, biegnący od gromady, najbliższej wejścia. Na tle czerwonej kotary ukazał się papież, niesiony na wysokim tronie. Podniecenie, wywołane oczekiwaniem, przymus płuc, od paru godzin tłumiących każde głośniejsze słowo, niecierpliwość ludzi, latami nieraz marzących o tej chwili — bije niepohamowaną wrzawą: *evviva Papa!* Okrzyki nie wystarczają, więc klaszczą w dłonie, powiewają chustkami, tupają nogami. Są tacy, którzy śmieją się z nagłej tkliwości, z nieodpartego przypływu uczucia dla tego symbolu swoich wierzeń. Słychać chrypliwe dźwięki zduszonych gardeł, niezrozumiałe szelesty i świsty przelatują nad ustami, spalonemi gorączką. Inni milczą z nadmiaru uniesienia. — Sedia gestatoria, chwiejąc się na barkach amarantowych kamerdynerów, płynie nad tą burzą serc wezbranych jak łódź. Na tronie siedzi biała postać w czerwonej pelerynce i błogosławi. W prawo i w lewo rozdaje krzyżyki, kreślone w powietrzu. A gdy spotka się z gwałtowniejszą falą okrzyków i oklasków, ręka wyciąga się ruchem powitania, — nieznaczne, kilkakrotne pochylenie dłoni, które natychmiast znów przechodzi w gest *(Dok. na str. 118)*



Plac św. Piotra

USTAWY MAŁŻEŃSKIE

JEST TERAZ u nas wielki krzyk o to, czy zaprowadzić nowe ustawy małżeńskie, to jest dopuścić rozwody, czy też nie. Pisze się, krzyczy, grozi po gazetach i na wiecach, jakgdyby już w Polsce nie było nic ważniejszego do zrobienia.

Sprawa wyszła stąd, że ludzie, którzy się separowali, czyli rozeszli, chcieliby uzyskać rozwiązanie małżeństwa albo unieważnienie i nabyć prawo do powtórnego wejścia w związek małżeński. To jest źródło, czyli początek.

Dopomagają im krzykiem wszyscy ci, którzyby chcieli potargać wszystkie moralne, ustawowe i obyczajowe więzy, jakie łączą ludzi między sobą i ze zbieraniny jednostek czynią społeczeństwo zorganizowane. Są to te same czynniki rozkładu, które podkopują uczucia narodowe, przezywając je szowinizmem, podgryzają uczucia religijne, przedewszystkiem katolickie, nazywając je zabobonem i czarną niewolą, ośmieszają uczciwość, poszanowanie godności własnej i cudzej, nazywając to burżuazyjną asekuracją przeciw głodnym rzeszom — a których celem jest rozkład, rozbicie społeczne, rozproszkowanie ludzi poto, aby byli łatwiejsi do opanowania i wyzyskiwania.

O los tych małżeństw, które się rozeszły, bynajmniej im nie chodzi. Wyzyskują kłopotliwe położenie tych ludzi, ażeby przy tej sposobności osiągnąć swoje cele polityczne, to jest rozbicie społeczeństwa.

Kultura rzymska, której Europa zachodnio-południowa jest wyrazem, a Kościół katolicki spadkobiercą i polepszycielem, tworzy najsilniejsze, najbardziej spoiste związki społeczne i narodowe. To też główny atak, a raczej jedyny, jest wymierzony w katolicyzm. Mówiąc o zmianie prawa małżeńskiego, ma się teraz na myśli tylko złamanie katolickiego prawa. Chodzi o uczynienie wyłomu w kulturze rzymskiej.

Druga strona stawia się w pozycji obronnej i woła, żeby do żadnej zmiany w tym kierunku nie dopuścić. Ta druga strona nie jest już tak jednolita. Jedni widzą w tem atak na religję katolicką i gotują się do jej obrony. Ale są i tacy, którzy sobie powiadają, że to zagadnienie da się bardzo dobrze wyzyskać politycznie, i stają również w szeregach obrońców, chociaż sprawy samej albo nie znają, albo też uważają ją w duszy za obojętną.

Jak się ta sprawa przedstawia w istocie?

Jeżeli chodzi o los ludzi separowanych, to w całej Polsce niema nawet tysiąca takich ludzi. Jest to liczba tak śmiesznie drobna i znikoma, że naprawdę wstyd, ażeby sprawą, obchodzącą tak niewiele osób, zatrudniać cały kraj, Sejm, Rząd. Kto się rozszedł z żoną, dlaczego ma się koniecznie żenić powtórnie? Jest przecież tylu kawalerów, a między nimi dziesiątki tysięcy nadających się do małżeństwa, pragnących wstąpić w związki, a nie mogących tego uczynić np. z powodu braku wystarczających środków na utrzymanie. Jeżeli całe państwo jest zobowiązane, jak twierdzą wnioskodawcy, do umożliwienia separowanym, ażeby ponownie się żenili, to chyba tem większy należałoby podnieść krzyk o to, ażeby to samo państwo ułatwiło owym niezamożnym założenie pierwszego ogniska domowego. Kto się rozszedł z żoną, złożył dowód, że albo nie umie dobrać sobie towarzyszki życia, albo nie nadaje się do współżycia w stadle małżeńskiem. W obu wypadkach byłoby najlepiej i dla niego i dla otoczenia, żeby drugi raz nie próbował sztuki, w której się okazał omylnym. Natomiast kawalerowie, pragnący, a nie mogący utrzymać rodziny, mogą uchodzić za ludzi, zdolnych do zawarcia przykładnego i szczęśliwego małżeństwa.

Z tej znikomej liczby ludzi zainteresowanych wynika, że krzyk o zmianę ustawy małżeńskiej jest tylko pretekstem, pozorem do innych, przemilczanych celów. Gdyby tylko tę liczbę mieć na oku, musiałoby się dojść do wniosku, że jest niedorzecznością zmienianie ustawy, która miljonom dogadza, dla wygody czy kaprysu setek. A byłoby zbrodnią narzucanie miljonom takich urządzeń, jakie się podobają tylko kilku setkom.

Ale jest inna dziedzina tej sprawy, która wymaga uregulowania. W byłym zaborze pruskim obowiązują śluby cywilne — w byłym zaborze austrjackim śluby cywilne są dopuszczalne, a w byłym rosyjskim nie. Rzecz wymaga ujednostajnienia. Samo zniesienie ślubów cywilnych tam, gdzie ono obowiązuje, wymaga ustawy.

Śluby rytualne są u nas różne, bo mamy różne wyznania religijne. Katolicyzm nie dopuszcza zasadniczo rozwodów, a judaizm ma rozwody łatwe, codzienne: wystarczy, żeby mąż, chcący pozbyć się żony, rzucił jej na kolana list rozwodowy i już małżeństwo przestaje istnieć. Wyznania protestanckie mają również rozmaite, a od katolickich odmienne ustawy małżeńskie. Prócz tego są w Polsce muzułmanie. Prawnie marjawityzm jest w Polsce uznany, bo został uznany przez Moskali, a tam małżeństwa poprostu niema, tylko załatwianie rzeczy takie, jak w domu publicznym. Dziewczyna, grzesząca z marjawickim duchownym, nazywa się dziewicą niepokalaną, a rozpusta z nim ślubem mistycznym. I tylko taka, która rozpustowała z duchownym wyższego stopnia, zostaje uznana za wcielenie Niepokalanej Boga Rodzicy. Poprostu wstyd powtarzać te bluźnierstwa, drwiące z rozsądku, ale one są i oczu na to zamykać nie można. Dodajmy do tego jeszcze przepis, obowiązujący w byłym zaborze rosyjskim, że dzieci z małżeństw mieszanych z prawosławnymi muszą być wpisane do cerkwi prawosławnej, a zobaczymy, że jest ogromny nieład w tej dziedzinie.

Wszystkie te sprawy wymagają uregulowania i uporządkowania przez ustawę. I taka ustawa jest potrzebna. Gdyby nie brano za jedyny punkt wyjścia tych kilkaset małżeństw nieudałych, tylko wykazano wszystkie te rozbieżności dzielnicowe i wyznaniowe, nikomu nie przeszłoby przez głowę sprzeciwianie się tak pożytecznej i potrzebnej zmianie.

Co więcej, jedna ustawa państwowa o skutkach prawnych małżeństwa, jak np. prawo dziedziczenia, byłaby bardzo potrzebna. Taka ustawa musiałaby w rozróżnianiu uprawnień przyjąć jakąś miarę pośrednią ważności ślubów, a więc byłaby z konieczności państwową ustawą małżeńską. Czy miałaby zawierać tylko zniesienie wszystkich ślubów cywilnych i przymus zawierania małżeństw rytualnych, czy na wzór włoski zaprowadzić przymus rejestracji ślubów rytualnych u władz państwowych, ażeby dostarczyć podstaw do rozstrzygania sporów przez władze cywilne, to jest rzecz do rozważenia, nie do agitacji. Wszakże państwowa ustawa małżeńska niekoniecznie musi zawierać ułatwienia rozwodów — mogłaby równie dobrze utrudniać lub nie dopuszczać rozwodów u ludzi tych wyznań, które mają rozwody łatwe. Wszystko zależy od tego, co prawodawca włoży w ustawę.

Otóż dotychczasowa nagonka w sprawie państwowej ustawy małżeńskiej świadczy dowodnie, że wnioskodawcom bynajmniej nie chodzi o uregulowanie zagmatwanych stosunków w sprawie małżeństw, ale wyłącznie i jedynie o wyrządzenie złośliwości katolicyzmowi. Taka ustawa nie uporządkowałaby bynajmniej dzisiejszych niepomyślnych warunków, tylkoby pod pozorem zadowolenia krzyczących setek wyrządziła wyłom w ugruntowanem prawie, korzystnem dla miljonów. I dlatego dzisiaj opór przeciw tym wnioskom jest wskazany i konieczny.

Niemniej jednak zwalczanie tych zachcianek przez argument, że ustawa cywilna o ślubach niszczy rodzinę, nie jest trafny. Albo rodzina jest prawdziwą rodziną, to jej żadne ustawy nie zniszczą — albo nią nie jest, a wtedy przymus policyjny nic na to nie poradzi. Rodzinę stwarza się, utrzymuje i wzmacnia tylko przez obyczaj domowy, przez stosowne wychowanie kandydatów do stanu małżeńskiego w poczuciu godności i obowiązku, a nie przez żandarmerję. Nauczmy mężów i żony wierności, oraz przykładności względem dzieci, a żadna ustawa nie zmusi ich do zdrady, ani do gorszenia dzieci. *(Dokończenie na str. 118)*

RZEŹBY JÓZEFA STARZYŃSKIEGO

ZAZNACZAM zgóry, zaczynając pisać ten artykuł, że nie będzie to ani wywiad, ani krytyka poszczególnych dzieł Józefa Starzyńskiego w dosłownem tego słowa znaczeniu. Będzie to tylko próba określenia charakteru jego twórczości, tak nowoczesnego, lecz zarazem tak złączonego z przeszłością i odmiennego od sposobów współczesnych, posługujących się jużto samą tylko formą, technicznie naśladowaną i nagminnie w danej chwili panującą (nie mam tu na myśli wpływu sztuki antycznej, lecz naśladownictwo z drugiej ręki gotowych już stylów, panujących za granicą), bez zwracania uwagi na konieczność zjednoczenia treści dzieła z jego formą (formizm) — już to znowu samą tylko treścią, powiedzmy, fabułą literacką, tak bardzo odbiegającą od charakteru czystej rzeźby, której ostatniem słowem jest żyjąca bryła. (Rodin, Dunikowski.)



Józef Starzyński
przy robocie „Św. Jerzego" (cykl)

Lecz obaj ci wielcy rzeźbiarze nazbyt jaskrawo pogardzili dostojną mową rzeźby: techniczną formą i dzieła ich są raczej więzieniami duszy, aniżeli rzeźbami w pełnem znaczeniu tego wyrazu. Inaczej u Starzyńskiego. W rzeźbach Józefa Starzyńskiego odnajdujemy dobrą rasę starych mistrzów, od dzieciństwa w fachu swoim pracujących: kunszt formy i posłuszeństwo treści, oraz doskonałą znajomość materjału. I o tem właśnie chcę pisać. Być może, że forma u tego artysty jest trochę za despotyczna, a w treści pragnęłoby się trochę niedbałej prywaty w miejsce surowego nastroju, ale to są moje pretensje osobiste, nie mające dla całości żadnego znaczenia.

Natomiast: kunszt! W kwestji tej rzadko wypowiada się oficjalna krytyka. Jest to strona techniczna sztuki, w której krytyka czuje się obco, a przecież dłoń dzierżąca dłuto: oto co jest istotą rzeźby! O tem też mówmy. O odmiennym sposobie traktowania każdego materjału, przydatnego do rzeźby, którą to tajemnicę, zgoła niewspółczesną, posiadł Józef Starzyński, rzeźbiarz rzetelny i rasowy. Nie możemy liczyć na znawstwo rzeźby wśród przeciętnego ogółu (sztuka ta jest bardzo trudna), lecz mimo to dajemy dowód małej wnikliwości w istotę rzeczy, oraz słabej orjentacji fachowej, patrząc na rzeźbę tylko z punktu jej tematu. Błąd ten popełnia stale przeciętna publiczność, oglądająca a nawet kupująca rzeźby na wystawach. W kwestji tej zresztą możnaby dyskutować bez końca.

Jedno jest tylko niezaprzeczalne, że nie wystarcza obrać sobie taki albo inny temat i plastycznie go w byle jakim materjale utrwalić (notorycznie używamy, idąc po drodze jak najmniejszego oporu, gliny!), nie troszcząc się o stronę rzemieślniczą rzeźby, o zgodność jej techniki z materjałem. — Wspominam o tem dlatego, że tu leży pointa moich spostrzeżeń: wielka luka w rzeźbie współczesnej — nieznajomość materjału. Zdanie to może się wydać zbyt śmiałe, ale jeżeli porównamy doskonałą kulturę techniczną ludów starożytnych, Grecji, Egiptu, a nadewszystko gigantycznej ilościowo i jakościowo rzeźby indyjskiej, zobaczymy, że na naszych europejskich (wyłączam średniowiecze) wysokościach rzeźbiarskich zasiadają sami poeci.

Mamy przecież na wystawach gliniane marmury (reprodukcje z glinianych projektów, maszynowo przenoszone) — gliniane drzewo (pewna głowa Żyda na wystawie Laszczki). Szczególnie drzewo nie znosi dyletantyzmu! Jest wtedy nie do zniesienia. Nie może być robione sposobem właściwym modelowaniu w glinie, który to sposób nadaje się tylko do bronzu. (Formą pierwotną bronzu jest glina, utrwalona czasowo w gipsie.) Za mało czasu, a może za dużo pychy fachowej mają nowocześni rzeź-



Józef Starzyński „Św. Jerzy"
(cykl) drzewo



Józef Starzyński „Chrystus"
drzewo (polichromja)



Józef Starzyński „Madonna"
(drzewo inkrustowane mosiądzem)

biarze, ażeby terminować u stolarzy i kamieniarzy, a brak ten boleśnie potem psuje ich dzieła.

Starzyński, jak wielu twórców średniowiecznych (u nas Wit Stwosz), wyrzucił ze swojej twórczości pierwiastek osobisty.

Rzeźba jego posiada charakter czysto objektywny i operuje wartościami wiecznemi. Stąd zamiłowanie w sztuce kościelnej, tej najczystszej ze sztuk, która od początków historji człowieka była jednym wielkim krzykiem jego duszy, pieśnią nad pieśniami, słowem bożem, które nie przemija.

Gdyby rzeźby Starzyńskiego były rozmiarami większe (artysta ten źle robi, rozpraszając czas na pracę ubo czną), posiadałyby wszystkie cechy sztuki monumentalnej. Składa się na to nadzwyczajne poczucie bryły, skupienie kompozycji, nierozerwane i proste, celowo stylizowane — i, mimo że nie operuje on surową bryłą Rodina ani Dunikowskiego, lecz antycznie bryłę tę nacina i zdobi, nie traci ona przez to na swojej sile.

Przeciwnie. Rzeźba nie jest poezją, nie jest muzyką, nie może istnieć „na wiarę", nie może pozostawiać pola domysłom. Rzeźba to jest plastycznie skrystalizowana myśl twórcza, i wszystko tam musi być plastyczne, gotowe do kontroli, stworzone, zrobione, nie ukryte. — Zależy to oczywiście od punktu widzenia. W różnych epokach różnie zachowuje się dusza ludzka. Ale rzeźba jest kamienną mową wieków i za sto lat nikt nie będzie wzruszał się tem, czy z trudem odsylabizowany, symboliczny „Fatum" gnębi tak czy owak bezkształtną aż do zbrodni bryłę Dunikowskiego, lecz zapyta się, czy umieliśmy w Polsce rzeźbić.



Józef Starzyński „Madonna z aniołkami"

Możnaby zarzucić Starzyńskiemu, że jest pod wpływem rzeźby antycznej, średniowiecznej, w szczególności romańskiej i gotyckiej. Lecz tu użyję zdania Mieczysława Tretera („Xawery Dunikowski"):

„Przedewszystkiem kwestja oryginalności i naśladownictwa w twórczości artystycznej wogóle, a w szczególności w rzeźbie, jest rzeczą bardzo względną". „Wiemy, że Dunikowski nie z ubóstwa inwencji zwrócił się do sztuki gotyckiej, greckiej, wschodniej, ale właśnie dla nawiązania ogniwa".

Sam Dunikowski zaś wyznaje: „Każdy artysta jest jakgdyby synem swego ojca — przeszłości; nawiązuje ogniwa lub szuka brakującej części dla wielkiej całości."

U Starzyńskiego zasługa tego nawiązania ogniwa jest wielka, ale, jak dotąd, całkiem odosobniona. Doskonała jego umiejętność używania drzewa, jego Madonny, Dobry pasterz, Chrystus, cykl o św. Jerzym, krajane pewnem i niezawodnem dłutem, z największą łatwością i znawstwem, zgoła współcześnie nie spotykanem, jego umiłowanie zdobnictwa (polichromja, inkrustacja), te wszystkie bujnie drapowane szaty, łamiące się w dziwaczne fałdy (jak u Stwosza), tak bardzo różnią się od wszystkiego, co widujemy na wystawach (nie wyłączając interesującego, prymitywizowanego stylu szkoły Stryjeńskiego w Zakopanem), że tylko złej woli i małemu zamiłowaniu publiczności, a nawet krytyków, przypisuję tak słabą popularność tego skromnego nad wszelką miarę, a tak naprawdę doskonałego rzeźbiarza.

Janina Kilian-Stanisławska

Z CYKLU „KWIATY"

Kwiaty są różne:
Są pełne i są próżne,
Są kolorowe całe
I są zupełnie białe.

Róże

Róże są purpurowe i duże,
Nie zadają się z innemi kwiatami
I zawsze pachną różami.

Lilje

Lilje są wszystkie białe, otwarte i chłodne.
Zawsze osobno w modrym cieniu rosną
I tylko święte chodzić z niemi godne,
Gdy Matce Bożej usługują wiosną.

Bez

Bez każdego ranka ma dużo srebrnych łez,
Ale w południe
Umie uśmiechnąć się cudnie.

Stokrotki

Stokrotki są raz różowe,
a drugi raz białe,
Mają złote serduszka,
dopóki są małe,
I żyć nie mogą bez tego,
żeby nie wróżyć czegoś kochanego.

Zawsze pachną przedziwnie,
Nawet te „niepachnące",
I w słowach kwitną tak samo,
Jakgdyby rosły na łące.

Konwalje

Niechaj się każdy dowie:
Są ciche i pachną najsłodziej,
A gdy je zabrać lasowi,
To las za niemi przychodzi
I zrozpaczony tonie
W maleńkim, szklanym flakonie.

Maki

Maki są zawsze czerwone
Tak zbliska, jak i zdaleka.
Zostawmy je w spokoju:
Nie lubią rąk człowieka.

Fiołki

Fiołki są wszędzie,
A gdzie ich niema,
Tam wiosny nie będzie.

Niezapominajki

Niezapominajki rosną nad strumykiem.
Mają pamiętać o wszystkich —
— Nie pamiętają o nikim.

Ewa Szelburg

PIĘĆ SALW



ZBLIŻAŁO się południe, kiedym wracał z bibljoteki watykańskiej na via Collina. Przed pomnikiem Wiktora Emanuela tramwaj ugrzązł nagle w zatorze wozów. Powstał wysoko brzmiący zgiełk nawoływań i dźwięków. Wyczekując usunięcia przeszkody, męczeńsko tęskniłem do ciszy, chłodu i samotności. Białe światło dnia ślepiło mię, przeszywało nawskróś miljonem ból sprawiających promieni.

Dotąd napoły zwarte oczy moje nagle otworzyły się szeroko. Przez szczeliny powiek musiała przed chwilą przedostać się jakaś niezwykła podnieta, skoro bez zastanowienia, całkiem odruchowo wyskoczyłem z tramwaju na bruk. Cóż się stało właściwie? Ach tak, to od zatoru odpadł powóz jakiś i potoczył się pod pomnik. Niebawem po schodach biegł już ktoś ciemno ubrany, sprężysty w ruchach, zapewne wojskowy. W szalonem słońcu mignął wieniec kwietny i dwie wstęgi — jedna o barwach włoskich, druga... Druga, tak... To właśnie mię wyciągnęło z tramwaju. Druga biało-czerwona. Oczywiście na grób Nieznanego Żołnierza.

Instynkt gazeciarski przywiódł mię aż pod sam pomnik.

— Od jakiej to instytucji? — spytałem ubranego odświętnie rodaka, gdy po dłuższej chwili rozmyślań czy też modlitwy wypadł był wreszcie z bezruchu i, po żołniersku wykonawszy zwrot wstecz, wracał do pojazdu.

Pytanie moje, widać, go zaskoczyło, bo aż się zatrzymał, najwidoczniej zmieszany. Ujrzałem szczupłą, chudą nawet, twarz, nieregularną, jakby zebraną w prawą stronę. Poprzez jasny zarost przeświecała na szczęce głęboka blizna, sprawczyni brzydkiego skrzywienia.

Po kilku nieufnych bąknięciach rodak podał mi rękę i wymienił swoje nazwisko. Major Antoni K. z O. K. Poznań. Zręcznie roznieciwszy gawędę, powiozłem nowego znajomka na Pincio.

Gdyśmy się znaleźli w cieniu drzew przy stoliku z grenadiną, major zaciągnął się dymem z papierosa i, krzywiąc pokancerowaną twarz do uśmiechu, pogodnie zaspakajał moją ciekawość.

— Wieniec pochodzi ode mnie samego — rzekł. — Aby móc go tu złożyć, przez sześć lat ciułałem ubogie grosze oficerskie na podróż. Widzi pan... Działo się to czasu wojny, w Apach południowych, w kierunku Monte Belluni, podczas którejś tam zrzędu ofensywy austrjackiej. Jakiegoś chmurnego ranka otrzymawszy doborową sekcję strzelców-górali, oraz kaprala, Kroata, ponurą wielce postać, Zdeńkowića, z polecenia sztabu dywizji ruszyłem na wywiad, by sprawdzić, czy pewna niedość wyraźnie na mapie oznaczona ścieża istnieje naprawdę i czy istotnie łączy dwie ważne dla nas przełęcze. Po trzech godzinach akrobatyki wyprawa nasza trafiła wreszcie na dróżkę i na załom w kształcie litery „S". Staliśmy właśnie na jednym zakręcie, doskonale przykryci występem skalnym, gdy z za drugiego wyjrzało, żadnej nie podejrzewając zasadzki, kilku bersaljerów z oficerem na czele. Podniosłem rękę na znak ciszy. Wśród moich takie zapanowało skupienie, że nagłe kichnięcie kaprala chłopcy uznali za komendę i dali ognia. Padła pierwsza salwa, zaczepna, bitewna. Trzy kogucie ogony runęły w dół, reszta błyskawicznie cofnęła się za występ. Cóż, sytuacja beznadziejna, cel jak w strzelnicy. Na ścieży pozostał tylko oficer, snać przez nas nieuszkodzony — sucha twarz Rzymianina, hardość w brwiach i niebieski cień na gładko wygolonych policzkach. Sekcja składa się do powtórnego strzału... A tamten, w pierwszej chwili jakby spłoszony, ujrzawszy ośm luf, uspokoił się odrazu i z wytężeniem zaczął na nas patrzeć.

— Stał tak długo w łopotaniu rozwianej peleryny, jak posąg, dumny i urodziwy. Mnie zaś nagle serce zamarło. Ze zgrozy i zachwytu. Bo oto ten nad przepaścią stojący moriturus jakgdyby nic, zapala sobie papierosa! Że jednak fale wiatru gaszą ogień, więc... Stało się coś niesłychanego, skandal, jakiego nie znają obyczaje wojny. Jak urzeczony wypełzam na ścieżę. Poco? Czy ja wiem... Może, by zasłoniwszy bersaljera własnem ciałem przed własnymi żołnierzami, jako Polak i wróg trzech rozbójników-cesarzy, dobrowolnie zejść za drugi występ skalny, ku linjom generała Cadorny? Gdym był już blisko, oczekująco wysunęła się ku mnie ciemna twarz z papierosem w ustach, jakgdybym ja, pan życia i śmierci tego zuchwalca, potom tylko wybiegł, żeby posłusznie zapalić mu papierosa! A jednak, proszę pana, gestem raczej pokornym rzeczywiście podałem Włochowi swoją benzynową wiatrówkę. Długo ssał rozchwiane płomię, aż nareszcie zadymił. „Z pewnością zgaśnie", rzekł po francusku, w tonie pogardliwym i, nawet nie spojrzawszy w moją stronę, z lekkim ukłonem chciał zejść ku swoim.

— Dopiero wtedy poczułem swoją arcygłupią wobec żołnierzy pozycję. Zawrzała we mnie wściekłość, z piekącego wstydu zrodzona, więc najgwałtowniejsza. „Jesteś pan jeńcem moim", zawołałem, chwytając odchodzącego oficera za rękaw. „Proszę oddać broń". Odwrócił się porywczo, błysnął oczyma i, ssąc źle zapalonego papierosa, drwiąco zawołał: „W takim razie teraz ja zkolei poczęstuję pana swoim ogniem". Przy tych słowach wyrwał z olster rewolwer i, nie zważając na wymierzone czujnie karabiny, strzelił mi w twarz. Zachwiałem się, alem tyle jeszcze miał przytomności, by z całej siły przywrzeć plecyma do skalnej ściany. W tej samej chwili o uszy moje odbił się okrzyk, coś jakby znajomym głosem rzucona komenda, a jednocześnie w echach rozsypany trzask. To była druga salwa, moich chłopców, salwa kaźni, nie boju, ale kaźni. Jak przez gęstą gazę zobaczyłem jeszcze Włocha, który wypluwając zaczerwienionego papierosa, słabo zawołał: „Mówiłem, że zgaśnie" i, bluznąwszy krwią, zniknął mi z oczu.

— Wówczas i na mnie spadła ciemność. Kiedy jednak po kilku minutach trochę mi się w głowie rozwidniło, ujrzałem nad sobą nachylonych żołnierzy. „Rana szczęki, panie lejtenancie", posępnie zadudnił dziobaty Kroat. „O małoście się nie zsunęli tam do nich, w przepaść". Patrzę na niebezpieczną ścieżę: cicho tam już było i pusto. A myśl moją jakgdyby kto zaprawił goryczą; żal jakiś ścisnął za gardło i trzyma. Chcę mówić, ani rusz; usta mam pełne krwi. Na kartce piszę tedy kilka słów i daję ją kapralowi. Kilka słów rozpaczy i krótki rozkaz: „Coście uczynili, niegodziwi! Zamordowaliście bohatera! Uczcić salwą honorową!" Kroat przeczytał, ściągnął brwi, zgorszony, ale kiedym mu dłoń znacząco uścisnął i resztką sił zdzielił kułakiem w bok, spoważniał, to znaczy spochmurniał jeszcze bardziej. Żądaniu memu stało się zadość. W ciszy pustynnej trzy razy zrywał się chrapliwy krzyk Zdeńkowića: „Baczność! Salwa honorowa! w górę! cel! pal!", a po każdej komendzie w stokrotnych odgłosach rozsypujący się trzask. To były salwy obrzędu. To była taka sama potrzeba sumienia, jak ta dzisiejsza obecność moja w Rzymie, jak te moje skromne kwiaty na symbolicznym grobie przeciwnika.

Major zamilkł. Ciche o tej porze Pincio ziało gorącym cieniem. W głębokiem niebie warczały niewidoczne aeroplany. W dole żarzyło się miasto. Za Romą, na pagórkach, w modrej mgle przeświecał motyw, jakgdyby stylizowany, orszaku pinij.

— Pięć salw — z krzywym uśmiechem rzekł oficer. — Zawartość jednego tylko magazynu karabinowego, a jaka rozległa skala dramatu, ile krwi i patosu, jaka zwarta synteza wojska i wojny, prawda?

— Ave honor! — szepnąłem wzruszony.

Wacław Filochowski

TEMPO

I. ROK 1897

„Kochana Irenko! — Piszesz mi, że zaręczyłaś się z panem Gustawem Warnowskim. Czy pochodzi on z Lubicz-Warnowskich, a jego matka Karnicka z domu, primo voto Grędzielska? W każdym razie życzę Ci szczęścia i błogosławię Cię na tę nową drogę życia, wnuczko moja kochana. Ale czy to nie zbytni pośpiech z temi zaręczynami? Ledwo rok się znacie, jak wspomina w liście ciocia Kasia. Za moich czasów nie tak bywało. Młody człowiek musiał długo ferlakurować, nim rodzice panny młodej zważyli wszystkie za i przeciw, zorjentowali się w jego położeniu majątkowem, stosunkach rodzinnych, poznali wychowanie i ukształcenie umysłu. A teraz co? Twój ojciec jest zdania, że wystarczy mu przyjrzeć się młodemu człowiekowi, raz przy kartach, raz w podróży i raz gdy będzie w podchmielonym stanie, jako że przy wszystkich tych okazjach prawdziwie człowiek, jaki jest, się okazuje, by już w ogólności wiedzieć, czy to odpowiedni pretendent do ręki córki. Nie chcę, uchowaj mnie Boże, krytykować Twoich Rodziców, lecz widzę, że z takiego pośpiechu wiele bywa małżeństw niedobranych, wiele łez się przelewa, gdy już klamka do zgonu zapadła. Przynajmniej czasu narzeczeństwa nie pozwól skrócić! Ach, moje dziecko, to już się nigdy nie wróci, ten czas przy księżycu marzeń, i czułych przy fortepianie romansów, i owych wiązanek, które w dzień narzeczeństwa białe być winny, a potem zabarwione, jakoby lekkim panieńskim rumieńcem, coraz żywsze przybierają kolory, aż w wilję ślubu otrzymasz pęk ponsowych róż na znak gorącego afektu! Napisz mi, wnuczko kochana, coby Ci przyjemność zrobiło i pożytecznem być miało do wyprawy. Przeznaczam dla Ciebie to srebro po babci Kamilowej..."

II. ROK 1912

10 lutego na balu prywatnym

— To ty, Władku! Pysznie się składa. Powiedz mi, czy nie wiesz czasem, kto to jest ta jasna blondynka w różowym, co tańczy z tym czarnym dryblasem, o tam, widzisz ich? Na vis à vis mają tego łysego z taką tęgą w lila! Nie znasz tej blondynki w różowym?

— Owszem, znam, to przecież panna Chrapowicka.

— Co, ta z Suchej Wólki?

— Ta, ta!

— Co to papa taki geszefciarz?

— Właśnie — widziałem go przed chwilą, raczy się kawiorem.

— Mój drogi, przedstaw mnie papie koniecznie! Bardzo ci będę obowiązany! Śliczna panna, od początku kontredansa ją obserwuję.

13 lutego na fivie u Chrapowickich

— Czy nie będzie pani na raucie u Dziewońskich?

— Owszem, wybieramy się całą paczką znajomych. Pan też będzie, prawda?

23 lutego na raucie u Dziewońskich

— Ach, jaka to nudna rzecz rauty, prawda?

— Niezawsze, proszę pani — na ten, naprzykład, czekałem niecierpliwie!

— (Ona, szybko:) Ale bal jest znacznie milszy, prawda?

— To może pani będzie na balu Dzieci Marji?

1 marca na balu Dzieci Marji w Europejskim

— Czy mogę panią prosić o mazura?

— Niestety — już tańczę!

— To chociaż tego walca — to „Valse d' Amour", prawda? Ostatni Walc — jutro post się zaczyna... Może pani od północy nie będzie chciała tańczyć?

22 marca w Alejach Ujazdowskich

Panna Chrapowicka spaceruje z ciotką w Alejach. W powietrzu wiosna. „On" zbliża się z przeciwnej strony. Uchyla kapelusza — wymiana spojrzeń — mija.

Ciocia: — Kto to taki?

— To pan Darnowski.

— Elegancki... ale czemu się zaczerwieniłaś?

10 lipca w buduarze u Chrapowickich

— Panno Zofjo, niech się pani nie gniewa, przecież to dzisiaj nasze zaręczyny! Proszę przebaczyć ten jeden jedyny pocałunek, taki kradziony...

— Nie gniewam się, ale niech pan już nigdy... Tak się przestraszyłam!

— Nigdy?! — A potem...

— Panie Juljanie, chodźmy do salonu!

15 października w sypialnym panny Chrapowickiej

Matka z płaczem, całując Zosię:

— Moje dziecko, moje dziecko... Ledwo cię poznał, już mi cię zabiera...

— Chodźmy, mamusiu, już kareta czeka! Na ślub nie wypada się spóźniać. Pan Juljan... no, niech mama tak nie płacze,bo i ja...

III. ROK 1927

10 stycznia w Agrykoli, godz. 3 min. 10

— Proszę, niech pani siada, sanki wolne, tor swobodny!

— Pierwszy raz pana widzę, jeszcze nie mam zaufania, nie wiem, jak pan jeździ.

— No to niech pani zjedzie, zaraz się pani dowie i nabierze zaufania.

— Sanki, pan ma, widzę dobre...

— No, proszę siadać, nie traćmy czasu!

Godz. 3 min. 40 w Alejach

— Jak pani na imię?

— Iza. A panu?

— Bob. Pójdzie pani ze mną do Ziemiańskiej?

Godz. 4 min. 30 w Ziemiańskiej

— Tu w Ziemiańskiej strasznie pełno, chodźmy stąd! Zresztą przypomniałam sobie, że za kwadrans mam z mamą randkę.

— To pani nie pójdzie na tę randkę!

— Owszem, pójdę, dawno mamy nie widziałam, zresztą mam jej doradzić, chce sobie kupić *crêpe de Chine* na suknię. Ale możemy się spotkać później.

— Gdzie?

— W Oazie, narazie na dole.

— O której?

— Będę o dziewiątej piętnaście.

Godz. 2 po północy, przed bramą

— Dowidzenia, panno Izo... Swoją drogą, jak pani tańczy!

— Tego ostatniego charlestona, co?

— Od pierwszego do ostatniego! Gdzie się jutro zobaczymy?

— Najlepiej niech pan przyjdzie do nas na obiad, pozna pan odrazu starych, a po południu u nas lekcja tańca.

— All right!

20 lutego u przyjaciółki Izy

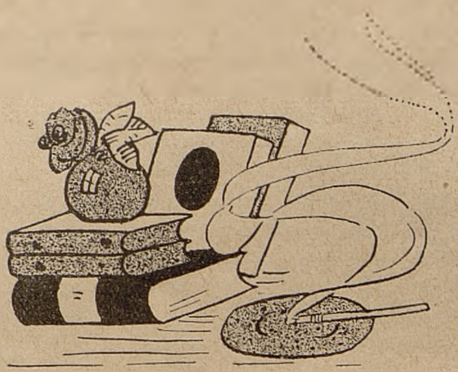
— Izo, kto to jest ten młody brunet, z którym byłaś wczoraj w kinie? *(Dokończenie na str. 118)*

CZEKANIE

CO TO JEST czekanie? Czekanie — to łamanie praw normalnego życia. To czas, który płynie niewspółmiernie powoli do naszych chęci. To podniesienie temperatury uczucia, w żadnym nie stojące związku z przedmiotem uczucia. To zakłócenie funkcyj ciała: słuch wyostrzony, wzrok zawodny, przyśpieszone bicie lub zamieranie tętna.

Czeka się dwóch rzeczy: listu od Niego lub Jego przyjścia.

W domu zwykle bywa tak, jakby list zjawić się mógł w każdej chwili, najmniej zgodnej ze zwyczajami pocztowemi. Zanim raz prawdziwie wpadnie do puszki, wpada niezmierną ilość razy fikcyjnie. Słyszy się to, poprostu słyszy. Głos ten idzie drogą dywanów, najbardziej przygłuszających wszelkie dźwięki, idzie do najdalszych pokoi, nawet gdyby miały drzwi tak silne, jak drzwi kas ogniotrwałych.



A gdy wraca się do domu, po ten list, naturalnie, bo pocóżby innego miało się wracać do domu, to przez chwilę przyśpiesza się kroku, żeby co prędzej rozerwać kopertę, to znów idzie się zwolna. Na pewne szczęście zawsze czekać można, a przytem list mieć będzie więcej czasu na przebycie drogi, a ten ktoś na napisanie go, Przyczem prowadzi się ze sobą wysoce pedagogiczną, lecz mocno nielogiczną rozmowę: „No, naturalnie. Nie będzie. Jakżeby mógł być dziś? Nie będzie. Mój wysłany we środę, nie, właściwie we wtorek po południu, ale to już prawie był wieczór, więc jakby we środę. Przyszedł, mógł przyjść. Ale nie trzeba się łudzić, teraz poczta tak źle funkcjonuje. Odpowiedział... Któż tak zaraz odpowiada? Chyba ja. Zresztą, cóż pilnego? No tak, więc gdyby nawet... To jeszcze za wcześnie. Wprawdzie już wczoraj wieczór powinien być... Ale dziś to jeszcze nie można go czekać.“

Na schodach źle odegrana komedja obojętności. Rozglądanie się po ścianach: „Dlaczego nie odnowią tych malowideł? Malowidła! Ładne mi malowidła! A ta lampa, to wiecznie musi krzywo wisieć? Nic dziwnego, że tak słabo świeci.“ A poza tą oficjalną rozmową „stuk-stuk“ serca coraz silniejszy. Nogi tak lekkie, że w jednej chwili na góręby poniosły, gdyby nie obciążyć ich kulami zdrowego rozsądku. Niech idą powoli i tak dojdą na czas. Oczy fantastycznie przeskakują rampę, ciekawe dojrzeć pierwsze. „Jest, niema, jest, niema!“



Bo puszki są zrobione z najmniej odpowiedniego potemu materjału. Lśniące ich wnętrze, nigdy niewiadomo — kłamie — czy prawdę mówi. „Jest, niema, jest!“ Ten cień na metalowej płytce — to zarys białej koperty, tej właśnie białej koperty, wypełnionej arkusikiem, pokrytym uwodzicielskiemi literkami.

Stoi się przed puszką i nic się nie wie... „Jest, czy niema?“ Tyle było czasu na znalezienie kluczyka, a kluczyk się w ostatniej chwili gdzieś zawieruszył. Nie będzie można otworzyć! W torebce coraz większy chaos, a w sercu coraz mniej nadziei. Znalazł się! Ale stanowczo jest dziś z jakimś djablikiem w zmowie. Nie chce się obracać. Może trzeba zawołać ślusarza? Ale kluczyk dobrze się obraca, tylko zanadto drżą ręce.

Puszka jest pusta — to światło się w niej bawiło.

W puszce leży jakiś list, najmniej potrzebny i wcale nieoczekiwany.

A czasem — ten właśnie, w białej, tej a nie innej, kopercie...

Czeka się na Niego w kawiarni, ogrodzie lub u siebie.

W kawiarni jest tak: żeby skrócić czekanie, dobrze jest przyjść na czas, a najlepiej po oznaczonej godzinie. I dlatego przychodzi się — przed terminem. I dlatego te pięć, dziesięć minut rozdrabia się w sekundy, że, choć podobno są częścią minuty, stają się od niej znacznie dłuższe. Jeśli w kawiarni jest pusto, to niema czem oczu zająć, a jeśli jest pełno, to ludzie, kręcąc się, otwierając i zamykając drzwi, spokoju myślom nie dają. Przecież trzeba się zastanowić, czy się wszystko dobrze omówiło i oznaczyło. Zawsze można zapomnieć jakiś najważniejszy szczegół. Czy to jest na pewno ta sama ulica i ta sama kawiarnia? Czy na drugim końcu miasta niema ulicy o podobnej nazwie i kawiarni o podobnem brzmieniu? A godzina, czy dziewiąta, czy koło dziewiątej? Bo to jest tak i jest źle: przy widzeniu ludzie wcale się o nic nie troszczą. Jakgdyby tylko chodziło o to patrzenie sobie w oczy, bez myśli o przyszłych możliwych niepokojach. Jaka lekkomyślność! Co za brak zastanowienia! Zawsze to dziś, nigdy jutro!

Kawiarnia jest złem miejscem spotkań, ale jeszcze gorszem ogród publiczny! Cóż z tego, że się mówi: „Luksemburg, na lewo od wodotrysku, pod palmą, koło krzaku ponsowej dalji.“ Kto jest obowiązany znać nawylot botanikę i odróżnić palmę od cyprysa, a krzak ponsowej dalji od żółtej róży? W każdym razie nie mężczyzna.

Strzałki zegara na Senacie ledwie dołażą do piątej. Jeszcze cały kwadrans! I poco było tak wcześnie wychodzić z domu... Bije piąta. Już! Jak to dobrze! Wcale nic dobrego i nic pewnego! Ten zegar z kościoła Saint-Sulpice zaczyna dzwonić i wcale się nie śpieszy. A ten z Panteonu dopiero się namyśla... Ale jakże to właściwie było postanowione? Wedle metra, czy T. S. F.? Bo chyba nie wedle żadnego z tych oszukańczych zegarów. Jeszcze wyrywa się jakiś spóźniony maruda! Nie, to już chyba kwadrans. Wybił raz... Tak ładnie, dostojnie. Jakto, dwa, i trzy, i cztery, i pięć! Nie, to straszne! Jeśli zegary tak zaczną drwić z ludzi, to najbardziej stęsknieni nigdy się nie spotkają!... No już, dobrze, dobrze. Niema się jeszcze czego denerwować. Lepiej czytać. To zawsze miło, „Pociecho moja ty, książeczko!“ Czytanie też oznacza bieg czasu. Czytanie. Czy przewracanie kartek?

Czas — stary dziadek z długą białą brodą. Czasowi się nigdy nie śpieszy. I komuś jeszcze się nie śpieszy... To brzydko. Mężczyzna zawsze powinien być pierwszy. Nawet gdy jest bardzo zajęty a kobieta nic nie robi.

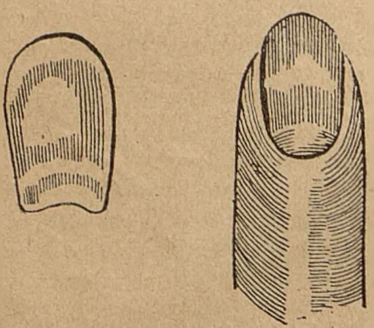
A gdyby popatrzeć w głąb ogrodu? Tylko rzucić oczkiem... Właściwie wystawić się na najgorsze katusze. Przecież każdy pan — może być Nim. Choćby miał inny płaszcz, inny kapelusz i inaczej wywijał laską. A co za radość, gdy się zobaczy pana w popielatym płaszczu, w popielatym miękkim kapeluszu, wywijającego jak należy laseczką... *(Dokończenie na str. 118)*

PAZNOKCIE, ICH MOWA, WYGLĄD ESTETYCZNY I NIEDOMAGANIA

II. MANICURE

WE WSZYSTKICH językach przyjęło się krótkie słowo manicure dla określenia kosmetycznych starań o paznokcie.

Umiejętne ich pielęgnowanie jest dla szerszych mas czemś, co równa się luksusowym, albo kokieteryjnym zabiegom. Lekarze natomiast twierdzą, że utrzymanie paznokci w prawidłowym stanie jest równie ważne, jak starania o zęby lub inne części ciała. Ludy wschodnie wyprzedziły w tem Europę znacznie, a niektóre z nich mają specjalny kult dla paznokci u rąk i nóg. Wskutek systematycznych i wyrafinowanych zabiegów utrzymują nietylko nieskazitelny kształt i barwę, lecz przez niezrównany, opalizujący połysk nadają im wygląd drogocennych kamieni. Wśród głównych warunków piękności damy wschodu niepoślednie miejsce zajmują paznokcie.



W ostatnich latach przybyło i u nas do tej gałęzi kosmetyki sporo wyszukanych szczególików, przyczem — zwłaszcza panie — przykładają obecnie wagę do nienagannego wyglądu paznokci. Wkradło się tutaj jednak pewne nieporozumienie do pojęć, na czem polega piękność i higjena paznokci. Przeważnie sądzą panie, że chodzi wyłącznie o nadanie im połysku. W tym też celu, bez namysłu, a po części z lenistwa, powierzają swoje paznokcie obcym rękom w t. zw. salonach piękności lub fryzjerskich. Tymczasem doświadczenia wykazały, że panienki zajmujące się manicure mają wprawdzie do pomocy całe instrumentarjum, różne płyny, proszki i t. p., ale za to nader skąpe, czasem żadne, wiadomości z zakresu higjeny. Z tego powodu wynikają niejednokrotnie rozmaite uszkodzenia a nawet zakażenia, zwłaszcza, że manikirzystki posługują się, zupełnie niepotrzebnie, ostremi przyrządami do odsuwania skórki okalającej paznokcie. Albo co jeszcze gorzej — wycinają skórkę.

Każda z pań może i powinna zająć się osobiście swojemi paznokciami, przez co oszczędzi dosyć pieniędzy, a sporo czasu traconego na wyczekiwanie kolei. Lecz co najważniejsze, higjena paznokci zyska na tem wiele.

Przybory niezbędne do manicure są niewyszukane i nieliczne: szczoteczka, przedostająca się łatwo pod paznokcie, pilniczek stalowy do spiłowywania brzegów, drugi kościany lub rogowy do wydobywania nieczystości, zamszowa skórka lub szorstka serwetka do polerowania paznokci. Na wszelki wypadek małe, zaokrąglone, ostre nożyczki do przecinania zadzierek lub paznokci. To ostatnie jest jednak zbędne, o ile paznokcie raz na tydzień spiłowujemy. Przy kruchych paznokciach ucinanie powoduje łamanie się i pękanie wzdłuż. Nożyk jest absolutnie niepotrzebny.

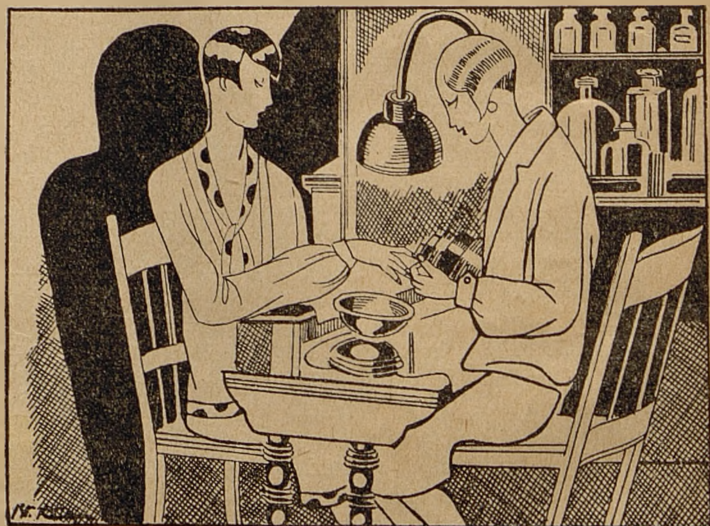
Oprócz wymienionych przyborów należy mieć: wodę utlenioną, pumeks, sok cytrynowy, dobry proszek lub krem dla nadania połysku.

Głównym warunkiem i podstawą prawidłowej manicure jest czystość. Paznokcie wymagają w ciągu dnia kilkakrotnego mycia mydłem i szczoteczką. Woda powinna być ciepła i miękka, z dodatkiem boraksu zależnie od potrzeby. Sokiem cytrynowym, a w trudniejszych przypadkach pumeksem, należy usunąć plamki, które nie ustąpiły pod wpływem mydła. Następnie ostrzejszym końcem kościanego przyrządzika wydobyć z pod paznokci głębiej tkwiące resztki zanieczyszczeń, a zaokrąglonym jego końcem, lub własnym paznokciem dużego palca, powoli i ostrożnie obsuwać skórkę jeszcze wilgotną. Wobec skórki opornej, kruchej i wysoko na paznokieć zachodzącej, stosować zabieg z oliwą podany w I części artykułu. — Wodę utlenioną stosuje się wówczas, gdy część paznokcia wystająca poza palec jest brzydko zabarwiona. Cienką warstewkę waty owija się na ostry koniec kościanego pilnika, macza w wodzie utlenionej i zwilża kilkakrotnie paznokcie od wewnątrz.

Po tych wstępnych przygotowaniach umyć paznokcie powtórnie w ciepłej wodzie, szczoteczką i mydłem, poczem wyrównać owal pilniczkiem, nie zachodząc jednak za głęboko w kąciki. Teraz przychodzi kolej na proszek, krem lub inne środki nadające połysk. Sposób użycia jest różny, a przy każdym kupnym środku podamy. Po zastosowaniu każdego z nich następuje polerowanie, t. zn. wycieranie zamszą lub, co wielu osobom lepiej odpowiada, szorstką serwetką. Zamiast gotowej poduszeczki zamszowej do polerowania, lepsze usługi oddaje luźny kawałek zamszy, który można często wyprać. Polerować nie należy ani za długo, ani za mocno, gdyż wpływa to ujemnie na odporność i elastyczność paznokci. Po wypolerowaniu należy usunąć pozostałości po proszku lub kremie wodą i szczoteczką, dokładnie wysuszyć i lekko przetrzeć zamszą.

Z środków kupnych cieszą się wyroby francuskie wielkiem powodzeniem; wybór marki zależy od indywidualnych upodobań. Niezmiernie prosty w użyciu a bardzo efektowny jest proszek „Kyx".

Najwyżej 5 minut poświęconych paznokciom przy codziennej toalecie, zapewnia im nienaganny wygląd, nie dopuszcza do zadzierek, zarastania, stwardnień i kruchości skórki, oraz innych drobnych dolegliwości i zniekształceń.



Dla nie mających zaufania do kupnych środków podajemy recepty do wyboru.

Płyn służący do wybielenia:

Aquae dest.	150·0 g
Acid. sulfur.	10·0 „
Tinct. benzoes.	5·0 „
Acid. citric.	5·0 „

Proszek nadający połysk:

Stanni oxydati	100·0 g
Carmini	1·0 „
Ol. bergamotti	0·5 „
Ol lavandul.	0·5 „

Płyn nadający połysk:

Aquae dest.	60·0 g
Spir. vini	40·0 „
Stanni oxydati	20·0 „
Carmini	1·0 „

Pomadki do nadania połysku:

Glicerini	4·0 g
Magnesiae ustae	10·0 „
Carmini	20·0 „

albo:

Cerae albae	5·0 g
Cetacei	5·0 „
Vasel. albi	60·0 „
Carmini	1·0 „

albo:

Cerae albae	50·0 g
Ol. amygdal. dulc. . . .	50·0 „
Carmini	10·0 „
Talci venet.	10·0 „

Efeb

JAK POWSTAJE FILM?

Z okazji otwarcia wystawy kinematograficznej w Warszawie, rozpoczynamy druk niniejszego artykułu, którego autor wyjeżdża obecnie do kilku większych wytwórni filmowych europejskich i amerykańskich, skąd nadsyłać nam będzie stale najaktualniejsze wiadomości, urozmaicone specjalnie dla naszego pisma robionemi zdjęciami, i wywiady z najsławniejszemi gwiazdami filmowemi. *Red.*

NIE BĘDZIE tu mowy o filmach monumentalnych. Takie bowiem obrazy, jak „Metropolis", „Dr Mabuse", „Gabinet Dr Caligari", „Ben Hur", i jeszcze kilka innych są to nieliczne wyjątki, nie podlegające ogólnemu szablonowi roboty wytwórczo-filmowej. Natomiast spróbuję jak najprzystępniej przedstawić fabrykację filmów, stanowiących codzienną strawę kilku miljonów kinematografów świata. Dla orjentacji dodam jeszcze, że stworzenie przeciętnego filmu trwa w wytwórniach niemieckich 10 do 20 dni i kosztuje 5 do 20 tysięcy dolarów, a np. „Ben Hur" wymagał pracy dwóch lat i pochłonął ponoś około trzech miljonów dolarów. O tem, jak powstawał film Ufy „Dr Mabuse", którego długich narodzin byłem naocznym świadkiem, trudno pisać bez entuzjazmu i bez gubienia się w szczegółach, ciekawych tylko dla tych, którzy bliżej znają pracę w filmie. Naogół niewątpliwie bardziej interesujący będzie temat: jak powstaje zwyczajny, przeciętny film.

Kiedy mnie przed kilku laty wprowadził znakomity reżyser, dyr. Fr. Zelnik (rodowity lwowianin) w świat filmowy Berlina — a w szczególności, jako elewa reżyserskiego, do swego atelier — zdumiewałem się zrazu na każdym kroku i rozczarowywałem, tracąc wiarę w to, by film dosłużył się kiedykolwiek prawa do miana sztuki. Stosunek aktorów, reżyserów, operatorów, architektów i autorów do własnej pracy — wydał mi się cyniczny, oparty tylko na spekulacji pieniężnej, a zamiast uniesienia twórczego, jakie znałem w pracy teatralnej, spotykałem wszędzie w zawrotnem tempie prowadzoną robotę, której wirem upajali się wszyscy pracownicy, jakgdyby uciekając przed każdą chwilą zamyślenia nad kierunkiem i celem tego pośpiechu. Namysł i zastanowienie — to rzecz dyrektora, w chwili, kiedy z ołówkiem w ręce „kalkuluje" nowy obraz, kiedy oblicza koszta i przypuszczalne dochody. Potem następuje poważna konferencja z doradcą literackim; u Fr. Zelnika była tym doradcą kobieta, autorka kilku lichych nowel, której nazwiska nie pamiętam.

Dyrektor Zelnik: W połowie maja chcę rozpocząć nowy obraz.

Literatka (pięćdziesięcioletnia, otyła, berlińska Hausfrau): Jaki typ?

Dyrektor: 12 do 15 dni roboty.

Literatka: Temat?

Dyrektor: Sentymentalny. Moja żona (Lya Mara) — jako mała, biedna dziewczynka. Wnętrza — skromne, tanie, drobnomieszczańskie.

Literatka: Z oszczędności?

Dyrektor: Mówi pani jak laik! W filmie niema po tym względem oszczędności. Dostałem właśnie list od naszego zastępcy w Grecji. Ostatni obraz firmy „Gloria" z Henny Porten p. t. „Pamiętnik służącej" z środowiska drobnomieszczańskiego miał ogromne powodzenie. Te same informacje otrzymałem z Tokio, z Budapesztu i ze Złoczowa.

Literatka: Złoczów? Co to jest?

Dyrektor: Nie pamiętam dokładnie. Wschodnia Europa. Gdzieś koło Lwowa.

Ja (dotąd niemy świadek, ze zdumieniem): A cóż pana obchodzi Złoczów?

Dyrektor: Złoczów?! Panie! Złoczowów jest kilka tysięcy. Złoczów — to wyraz wschodniej Europy — to dla mnie głos dwudziestu miljonów ludzi, czyli dziesięciu miljonów widzów kinematograficznych.

Literatka (uśmiechając się z politowaniem, w moją stronę): Więc pan myśli, że my kierujemy się tem, co piszą recenzenci? Zapewniam pana, że głos dyrektora kinoteatru w pięciotysięcznem miasteczku serbskiem jest dla nas ważniejszy i miarodajniejszy.

Ja: Ha — jeżeli państwo tylko zysk macie na względzie...

Dyrektor (stanowczo): Młody człowieku, niech pan uważnie posłucha tego, co panu powiem. Powiem zaś panu kilka najistotniejszych uwag o kinie.

Film jest pieśnią ludową współczesnego miasta. My nadajemy tej pieśni rytm, podobnie jak Homer zakuwał w heksametr legendy o wojnie trojańskiej. Treść czerpiemy z bruku, a jeżeli przerabiamy dla naszych celów znane tematy, naginamy je do fantazji mas, naświetlamy je wedle upodobań ludu. Tym ludem są wszyscy mieszkańcy miasta. Do teatru chodzą, poza nielicznymi dziś już fanatykami, światowcy na Verneuille'a, ludzie o wytwornym umyśle na Shawa, myśliciele na Kaisera, słowem — tak zwana publiczność. Do kina uczęszcza społeczeństwo. Wszyscy! „Wszyscy" — to zwarta masa, w której zacierają się różnice indywidualne między damą z loży a kolporterem z IV miejsca. Prymitywne, nieskomplikowane psychiczne perypetje bohaterów filmu trafiają wszystkim mniej lub więcej do przekonania; treść jest tu zresztą rzeczą drugorzędną. Idzie o bohatera lub bohaterkę. Film ucieleśnia marzenia o bohaterze, o kobiecie szlachetnej i pięknej, lub demonicznej i kuszącej. Harry Peel — to współczesny Achilles, Lya de Putti — to Helena, o którą toczą boje nie Grecy z Trojanami, lecz Jannings np. z Gajdarowem. Stuart Webbs — to chytry Odyseusz, Valentino — to Parys, a Liliana Gish — to prawie dzisiejsza Ifigenja. Teatr wywiera wpływ na swą publiczność. Film wywiera wpływ większy jeszcze, bo poddaje się ze swej strony wpływom widowni. Dzięki temu jest aktualniejszy, bezpośredniejszy od teatru, żywszy. Finansowy dobrobyt filmu jest naturalnym wyrazem tego wzajemnego wpływu: nam trzeba społeczeństwa, społeczeństwo bez nas obejść się nie może. Najzdrowszy sprawdzian naszej społecznej wartości — to nasza samowystarczalność. Nie trzeba nam zastrzyków w formie subwencyj rządowych, czy miejskich. Mamy tę pewność siebie, jaką ma człowiek, któremu za jego uczciwą pracę dobrze płacą. Ta płaca to dla niego dowód, że jest potrzebny. Skoro mówię o naszej uczciwej pracy, dodam jeszcze kilka słów o demoralizacji, którą ponoś szerzymy. Jeżeli do kina chodzą dzieci — nie nasza w tem wina. Dojrzałego człowieka kino nie może zdemoralizować, choćby dlatego, że w tendencjach swych moralniejsze jest od wielu sztuk teatralnych: każda zbrodnia znajdzie w filmie karę. Każdy film się „dobrze" kończy: żona odnosi zawsze triumf nad kochanką męża. Proszę to porównać ze stopniem moralności dzisiejszej farsy francuskiej! Pozatem zaś nikt się nie nauczył rozpruwania kas ogniotrwałych, oglądając włamania na ekranie. Z szczegółów dziennikarskich opisów więcej można nabrać doświadczenia w tym kierunku. Zresztą kiedy Sabała śpiewał o Janosiku, a Lwów opiewał w piosenkach swego bandytę Wasińskiego — nikt się tem nie gorszył, szukając wartości w formie góralskiej bajki, lub w dowcipie i sentymencie brukowej piosenki lwowskiej.

Teraz ad rem: szukam typu sentymentalnej, pokrzywdzonej dziewczynki...

Literatka: Hallo! Mam myśl! Przerobimy powieść Dostojewskiego „Poniżeni i pokrzywdzeni". Lya Mara gra rolę małej sierotki.

Dyrektor: Świetnie!

Ja (półgłosem): Dostojewski ma być „pieśnią ludową współczesnego miasta"?

Dyrektor: Tak. Dostojewski, tak jak my go podamy, będzie pieśnią ludową całej Europy. Czy pan tego nie czuje? Przecież Chaplin — to i tak postać z Dostojewskiego: to książę Myszkin ekranu, to Alosza Karamazoff! — W połowie maja rozpoczynamy zdjęcia. *(C. d. n.)* *Józef Mayen*

WANDA SIEMASZKOWA. — Powróciła do kraju nasza wielka artystka, przywożąc ze sobą sporą garść wspomnień o „gigantycznej“ Ameryce, jej kulturze i sztuce.

Z ciekawością zaczynam się wypytywać o teatr, który zapewne musi się tam nadzwyczajnie rozwijać. — Pani Wanda się śmieje. — O nie, Ameryka przecie hołduje kinom, tam teatr nie jest tak, jak u nas, subwencjonowany przez rząd. Teatry są prywatne i to przeważnie objazdowe. Nie grywa się tam sztuk kilkuaktowych, są jedynie varietées w większym stylu.

Organizacja teatru amerykańskiego różni się w zupełności od systemu wprowadzonego w teatrach europejskich. Podobna organizacja wytworzyła się sama, zastosowana do tamtejszych warunków. — Teatr nie jest traktowany wyłącznie jako świątynia sztuki, ale jako rentowny interes. Wynikiem tego uformowanie się trup wędrownych a nie teatru stałego. Zespół aktorów jest również zmieniany stosownie do zapotrzebowania sztuki. W ten sposób niema aktorów specjalnie oddanych swemu zawodowi.



Wanda Siemaszkowa

Traktowanie sztuki jako „dobrego interesu“ ma swoje złe i dobre strony. O tyle złe, że dobór sztuki zależny jest od aplauzu tłumów a nie od samej wartości sztuki. Następnie sztuka „robiąca kasę“, powtarzana niezliczoną ilość razy, mechanizuje aktora, a nie rozwija jego artyzmu. Przenoszenie się zaś stałe trup wędrownych z miasta do miasta nie nawiązuje tego kontaktu duchowego, tak pożądanego u nas, między aktorem a publicznością.

Dobre strony są ściśle również związane ze stroną materjalną. Aby dana sztuka ściągała liczne tłumy i nie schodziła przez długi czas z afisza, musi być grana przez zespół, pod względem artystycznym dobrze dobrany, świetnie wyreżyserowana i dekoracyjnie odpowiadająca wszelkim wymogom.

Teatr polski rozwija się prawie że nieznacznie, bo tylko w kolonjach polskich. Na czele trupy polskiej stoi dyr. Ochrymowicz. Z tym też zespołem grała pani Siemaszkowa, zaproszona do Detroit przez „Grono Polaków“. Przybyła do Nev-Yorku „Olimpikiem“ w październiku 1924 r., oczekiwana przez dyr. Ochrymowicza. Z nim odbywa małe tournée z „Djablicą“ Schönherra, następnie jeździ już samodzielnie z własną trupą, wystawiając „Upiory“ Ibsena, „Topiel“ Przybyszewskiego, „Ponad śnieg“ Żeromskiego, „Sędziów“ Wyspiańskiego, „Zaczarowane koło“ Rydla, oprócz tego dając wiele „wieczorów słowa“.

Gra jej, połączona z treścią polskich utworów, wzbudza zrozumiany entuzjazm i rozrzewnienie. Bo niema wśród tych wygnańców, chociażby jednego, któryby nie marzył o powrocie do kraju. I nawet dzieci ich, te, zrodzone na obcej ziemi, dziedziczą tęsknotę swych ojców.

Niedziwne też, że zawładnęła ich sercami pani Siemaszkowa. Bo i któż z nas nie zna tej mistrzyni żywego słowa, następczyni nieśmiertelnej Heleny Modrzejewskiej. Współczuła niedoli wygnańców Polaków, tam za Oceanem i niosła im wizję polskich lasów i pól, zaklętą w ballady i dziwną harmonję słów, która budziła drzemiącą tęsknotę — tragedję wygnańca.

I mówiła im o Polsce, o dzieciach, które tam na ulicach jej ukochanego Lwowa, ginęły z uśmiechem szczęścia — spełnienia swego obowiązku.

Fama o polskiej Duse, drugiej Modrzejewskiej, ściągała tłumnie Amerykan, których entuzjazm wyraził się w hołdzie złożonym w Detroit przez „Towarzystwo Międzynarodowe“.

Mimo tego nadzwyczajnego uwielbienia, jakiem pani Siemaszkowa była otaczana na drugiej półkuli, nietylko przez tamtejszą „Polonję“ ale i Amerykan, postanowiła powrócić do nas, do Lwowa, aby w nim obchodzić, swoje wielkie święto, jubileusz trzydziestopięcioletniej pracy scenicznej, wskrzeszając w tym dniu swą wielką kreację, rolę matki w „Balladynie“ Słowackiego.

A jako wiew „z tamtej strony“ i wspomnienie, przywiozła nam w upominku pani Wanda sztukę autorki amerykańskiej Lulu Volmar p. t. „Soon ob“ („Słońce wschodzi“), napisaną na tle poboru do wojska i stosunków ówczesnych w południowej Ameryce w r. 1917.

*

Szczepańska Leonja

UROCZYSTE PRZYJĘCIE BOY'A W PARYŻU. — Przyznaję chętnie, że postać Boy'a — lekarza, pieśniarza, fejletonisty, tłumacza, krytyka — była dla mnie za czasów mej młodości jedną z najbardziej tajemniczych. Czy możliwem jest, aby ten sam człowiek, który napisał „Słówka“, którego „Essika“, „Pani Stefanji“ i innych piosenek uczono się na pamięć (ale cytowano tylko pod nieobecność mam), aby ten sam człowiek przetłumaczył Moliera? Całego Moliera? Nie rozumiałam, ale wiem, że Boy'owi zawdzięczam bardzo wiele, a więc pobłażliwy uśmiech wobec śmiesznostek ludzkich i głębokie poszanowanie literatury, a zarazem zrozumienie trudnej i jednocześnie doprawdy pasjonującej pracy tłumacza. Dopiero będąc we Francji, zrozumiałam źródło istnienia ludzi takich jak Boy, możliwość ich różnorodnej twórczości. I zupełnie nie jest dla mnie dziwne, że Francja uczciła z pomiędzy pisarzy polskich właśnie Boy'a. Bo choć posiadamy bez wątpienia ludzi większego talentu niż Boy, to jednak on jeden, czerpiąc ze źródeł francuskich tak absolutnie pojął istotę literatury francuskiej, że został nietylko, jak sam twierdzi, kochankiem tej literatury, lecz jej duchowym synem. Jeżeli więc tłum przeszło trzechtysięczny w wielkim amfiteatrze Sorbony uczcił obecność Boya w Paryżu, jeżeli rząd francuski udzielił mu legji honorowej, to była to nietylko manifestacja przyjaźni francusko-polskiej, nietylko uczczenie tłumacza literatury francuskiej, lecz wdzięczny uśmiech kochanki, lecz uścisk wzruszonej matki.

Uroczystość ta miała charakter imponujący. Nikt z nas nie przewidywał, że wielka sala Sorbony będzie pełna; uważano, że „*Amis de la Pologne*“, stowarzyszenie, które zorganizowało tę uroczystość, popełniło błąd, wybierając tę salę. Tymczasem tłoczono się aż na najwyższych trybunach, a wiele osób nie dostało się wcale na salę z powodu jej przepełnienia.

Uroczystość rozpoczął minister Marin, witając Boy'a w mowie pełnej uznania dla Polski. Następnie Boy, bardziej wzruszony, niż oczekiwano od autora „Słówek“, złożył publiczną spowiedź, opowiadającem, jak to z lekarza stał się literatem, jak piosenka paryska zadecydowała o jego losie, a literatura francuska dała mu wszystkie rozkosze i wzruszenia miłosne. Mowa Boy'a, pełna szczerości, prostoty, wzruszenia i dowcipu, zakwalifikowana została przez przemawiającego po nim profesora i członka akademji Domnica jako najbardziej paryska i najbardziej pełna „esprit“ mowa, którą słyszał w przeciągu swego długiego życia.

Mowy przerywane były chóralnemi śpiewami młodzieży, a po zakończeniu tej oficjalnej części wieczoru ukazały się na płótnie filmowem widoki Warszawy, Zakopanego, Borysławia, Kazimierza i t. d. Oddaleni przeważnie dobrowolnie od kraju, zakochani w Paryżu, patrzyliśmy ze wzruszeniem niekłamanem na te widoki, budzące tęsknotę i cieszyliśmy się, że po raz pierwszy dano Francuzom, którym przez cały wieczór opowiadano, jak to u nas kocha się Francję, możność ujrzenia tego sprzymierzonego kraju, który bez przerwy dawał Francji dowody bezinteresownego uwielbienia.

I być może, że uroczystość ta nie była tylko uczczeniem niekłamanych zasług Boya, lecz spełniła poczęści chociażby zadanie zbliżenia narodów na drodze wzajemnego poznania. *Zofja Kramsztyk* (Paryż)

*

UŁATWIENIA W GOSPODARSTWIE DOMOWEM. — Nikt bardziej od nas, kobiet, nie rozumie, co znaczą w żmudnej codziennej pracy około gospodarstwa domowego drobne jakieś ułatwienia, które pozwalają gospodyni pracę skończyć prędzej lub z mniejszym wysiłkiem. Wiemy wszystkie, że służby — a zwłaszcza: dobrej — jest coraz mniej i że wykwalifikowana służąca — to skarb i rzadkość, cenna tem więcej, że opłacana na wagę złota, więc w większości przeciętnych domów nieraz nie do osiągnięcia. A właśnie te średnio zamożne domy domagają się najwięcej energicznej pomocy, gdyż ich panie muszą często — wskutek ciężkich warunków obecnych — „dorabiać“ swą pracą zawodową, a nawet nieraz utrzymywać nią całe gospodarstwo.

Brak służby domowej, oraz zmiany, jakie wprowadziło do domu zajęcie się jego gospodyni także innemi obowiązkami, sprawiły, iż kwestji reformy gospodarstwa poświęcono za granicą nietylko wiele uwagi, ale i dużo gruntownych badań.

W szczęśliwym kraju powszechnego dostatku — Stanach Zjednoczonych myśli się o tem, aby pani domu nie była najcięższej, bo cały dzień bez przerwy, pracującą robotnicą, aby znalazła czas nietylko na odpoczynek i rozrywkę, ale także na zajęcie się stosunkami towarzyskiemi, na zainteresowanie sprawami społecznemi i kulturalnemi, czego przecież jej stanowisko i rola życiowa wymaga.

Sprawom, związanym z gospodarstwem domowem, poświęca się w Stanach Zjednoczonych nietylko specjalne wydawnictwa i broszury propagandowe; prawie każde z poważnych czasopism posiada dział, w którym wykwalifikowani specjaliści informują o każdej „nowości" z tego zakresu. Nawet amerykański departament rolnictwa wydaje „Biuletyny Gospodarcze", które wielce pomocne być mogą przy nauce gospodarowania. Pomyślmy jeszcze o niezliczonych ułatwieniach czysto mechanicznych: o posiłkowaniu się gazem i elektrycznością nietylko do ogrzewania, ale do zmywania i wycierania, czyszczenia, odkurzania i froterowania, dostarczania wszelkich produktów do mieszkań (ile to czasu nasza Marysia poświęca na pójście na „targ"). Specjalna budowa kuchni w miastach ułatwia wiele czynności gospodarskich, jak np. usuwanie śmieci z mieszkania bez potrzeby znoszenia ich na dół (w ścianie znajduje się kanał do odpadków); gazowe suszarki do bielizny pozwalają na wysuszenie bielizny w ciągu kilku godzin i zaoszczędzają tak znanej u nas troski: „czy aby z góry złodziej nic nie ściągnie". Bardzo daleko zaprowadziłoby nas to wyliczanie różnych „szczęśliwości" gospodyń amerykańskich. Lepiej wróćmy na własne podwórko.

Polskie panie domu w sposobie prowadzenia gospodarstwa są w większości swej konserwatystkami i niezbyt interesują się nowościami, w zakres tej dziedziny wchodzącemi. Jednak i u nas już — przeważnie z racji wzmiankowanego wyżej braku służby — zaczyna się powoli rozwijać zainteresowanie nowoczesnemi urządzeniami gospodarskiemi. Od czasu do czasu pojawia się w handlu jakiś nowy a szeroko reklamowany sprzęt lub przyrząd i nie można powiedzieć, aby nie znajdował sobie zbytu. Tak to np. elektryczne odkurzacze — aparaty rzeczywiście praktyczne i higieniczne — znane są już w wielu domach; wysoka ich cena jednak staje na przeszkodzie naprawdę szerokiemu rozpowszechnieniu. To samo dotyczy froterek elektrycznych, które zaczynają pojawiać się już w handlu.

Na jednej z wystaw, które się w Warszawie w ciągu ubiegłego roku odbyły, ogromnem zainteresowaniem cieszyła się wzorowa kuchnia Warszawskich Zakładów Gazowych, a w niej przedewszystkiem gazowa suszarka do bielizny.

Te i inne drobniejsze czy ważniejsze ułatwienia — aczkolwiek pożyteczne — same przez się może byłyby jednak nadal tą jaskółką, która „jedna wiosny nie czyni". Reforma tak ważnej dla życia społecznego dziedziny, jaką jest gospodarstwo domowe, powinna być przy obecnych warunkach — gruntowną. — To też, rozumiejąc doniosłość sprawy, należałoby się odnieść ze specjalnem zainteresowaniem do prac, jakie podjęły panie, zgrupowane w Sekcji Gospodarstwa Kobiecego przy Instytucie Naukowej Organizacji Pracy w Warszawie.

Celem Instytutu jest propagowanie słowem i czynem zasad naukowej organizacji pracy, a więc dążenie do zwiększenia wydajności pracy przy zmniejszonym nakładzie kosztów, energji i czasu. Celem Sekcji Kobiecej jest stosowanie tych zasad na gruncie gospodarstwa domowego.

Brak odpowiednich szkół gospodarstwa domowego, na wzór istniejących za granicą, skłonił Sekcję do zorganizowania w połowie lutego b. r. cyklu wykładów, prowadzonych przez przewodniczącą Sekcji, p. I. Szumlakowską. Program obejmował: 1) cel i główne zasady naukowej organizacji, 2) naukowa organizacja w gospodarstwie domowem, 3) metoda normalizowania pracy w domu, 4) przykłady racjonalnej organizacji domu.

Wykłady odbyły się przy udziale około 100 słuchaczek, co, jak na Warszawę i na karnawał, a także stosunkowo na małą „reklamę", stanowi frekwencję wcale niezłą. Cały cykl tych wykładów ma być powtórzony w Warszawie, a także na specjalne zaproszenia — w paru miastach Polski: Wilnie, Poznaniu i Gdańsku.

Starając się w ten sposób choć prowizorycznie zastąpić kursy i kolegja specjalne, Sekcja pomyślała też i o podręczniku odpowiednim i wydała przetłumaczoną przez jedną z członkiń, p. Romanową, książkę Christine Frederick p. t. „Naukowa organizacja w gospodarstwie domowem".

Ten „katechizm" nowego kierunku stać się może w rękach wielu pań rzeczywiście nieocenionym doradcą; podkreślamy, że chodzi tu znów specjalnie o sfery średnio zamożne, co zresztą zaznacza w swym wstępie autorka.

Rzecz prosta, że rad nawet tak światłej i tak pilnej uczenicy Taylora, jaką jest Frederick, czytelniczki polskie nie mogą przyjmować bez zastrzeżeń, choćby dlatego, że warunki życia w Polsce inne są niż w Ameryce, ba, nawet samo pojęcie średniej zamożności jest — w dostosowaniu do naszych warunków — względne. To też zapewne wiele jeszcze wody upłynie, nim reforma gospodarstwa domowego będzie wprowadzona w całym kraju; pomyślmy tylko — tyle miast i miasteczek naszych obywa się bez kanalizacji i wodociągów, bez gazu i elektryczności. Tem więcej jednak winnyśmy dążyć, aby mądre i nowoczesne hasła naukowej organizacji w gospodarstwie domowem popularne się stały narazie choćby w większych miastach Polski. Nietylko bowiem przyśpieszymy w ten sposób ogólny postęp kraju, ale i sobie pracę ułatwimy niemało.

I. Jabłowska

TO I OWO

„PRECZ Z LONDYNEM!" P. Waleffe jest człowiekiem, który podjął walkę przeciw brzydkiemu, bezbarwnemu panowaniu angielszczyzny w strojach męskich, rzucając francuskim krawcom i fabrykantom sukna hasło: „Precz z Londynem!" Pod jego wpływem utworzyła się w Paryżu liga, która ma na celu wprowadzenie do stroju męskiego krótkich barwnych spodni „culotte" i wesołej tęczy kolorów w strojach męskich. P. Waleffe sądzi, że jest rzeczą słuszną i naturalną, ażeby po obciętych włosach kobiet nastąpiły obcięte spodnie mężczyzn, i że ogromna przemiana, jakiej podległ w ostatnich czasach wygląd kobiet, pociąga za sobą konieczność reformy w wyglądzie męskim. P. Waleffe dokonał już na tem polu prac przygotowawczych, druzgocących zupełnie tyranję angielskich krawców, tak że z wiosną każdy „pożeracz serc" nosić będzie: kolorową koszulę, ażurowe skarpetki, pstry pulower i miękki kołnierzyk (nawet wieczór) i spodnie „culotte" różnokolorowe z wełnianemi lub jedwabnemi różnokolorowemi pończochami. Miłe te i nadobne szatki dał p. Waleffe do skonstruowania krawcom damskim i przemiłym szwaczkom z przedmieścia „Saint-Antoine" — nie dowierzając fantazji krawców męskich. Nową tą fantastyczną modą męską zajęli się już karykaturzyści francuscy, przedstawiając wszystkie obecne wielkości Francji w podciętych „culott'kach" i w pantofelkach. *k*

FATALNA PRZEPOWIEDNIA NA R. 1927. Według proroctwa słynnej wróżki paryskiej Madame Fraya, która udzieliła wywiadu współpracownikowi dziennika „Petit Journal", obyczaje w r. 1927 mają jeszcze silniej się zbrutalizować, wskutek czego będzie jeszcze mniej dobrze wychowanych ludzi, aniżeli w roku ubiegłym. Przepowiednia ta nie odnosi się tylko do Francji, ale do całej Europy. Według tej przepowiedni tylko starsza gwardja zachowa tradycję grzeczności towarzyskiej i dobrych manjer; młodzież będzie trzymać ręce w kieszeniach, kapelusze nasuwać na czoło i gwizdać głośno w obecności pań. *k*

„DUCE" A MODA. Patrjotyczna elegancja włoska nakazuje obecnie noszenie chusteczek do nosa, ozdobionych portretem Mussoliniego. Dla dam podobizna „Duce" wyhaftowana jest w sposób misterny wielobarwnym jedwabiem, panowie zadowalają się fotograficzną reprodukcją. Jest to nad wyraz estetyczny objaw entuzjazmu, zwłaszcza u osób cierpiących na katar, w czasie epidemji grypy. „Duce" sam zresztą wtrąca się do mody („Duce" wogóle do wszystkiego się wtrąca) i „Duce" żąda, „Duce" rozkazuje, ażeby piękne Włoszki nosiły w imię patrjotyzmu wełniane pończoszki do balowych sukien i to krajowego wyrobu. Czyż to nie jest więcej jeszcze jak dyktatura?! — A że przykłady bywają zaraźliwe, „Duce" ma już towarzysza w osobie węgierskiego ministra finansów. „Duce" stworzył już projekt narodowej mody, która ma za zadanie popierać ruch handlowy i przemysłowy w kraju, a zwalczać fabrykaty zagraniczne. Piękne Włoszki są zrozpaczone i czekają, rychło im „Duce" każe pościć, żyć ascetycznie i pić tylko ocukrzoną wodę, jak to sam czyni trzy razy w tygodniu. *k*

ROZWÓDKOM UCINA SIĘ PALCE, na szczęście nie u nas jeszcze! Miły ten zwyczaj istnieje w Gwinei Holenderskiej, wśród ciekawej rasy pigmejów, na których natrafiła obecnie ekspedycja naukowa amerykańsko-holenderska. Kierownik ekspedycji prof. Stirling zdołał stwierdzić, iż rozwiedzione kobiety tracą po pierwszym rozwodzie jeden palec, po drugim — drugi i t. d. Palce ucina się im kamienną siekierą. *k*

ZGON KSIĘCIA KABARECISTÓW W PARYŻU. W Paryżu umarł Xavier Privas, znakomity autor i wykonawca piosenek kabaretowych. Królował on w słynnym „Quat d'arts", „Chat Noir", „Nostambules", „Carillon" i w wielu innych. Nikt z cudzoziemców, zwiedzających Paryż, nie omieszkał nigdy pośpieszyć na Montmartre, by zobaczyć i usłyszeć tego „księcia śpiewaków". *k*

CZTERDZIESTOPIĘCIOLECIE TWÓRCZOŚCI MARJI RODZIEWICZÓWNY. Ku czci znakomitej powieściopisarki, Marji Rodziewiczówny, z okazji przypadającego w bieżącym roku 45-lecia jej pracy literackiej, odbędzie się dnia 13 marca b. r. obchód jubileuszowy. W tych dniach odbyło się w Warszawie posiedzenie organizacyjne Komitetu pod przewodnictwem Zdzisława Dębickiego. Do Komitetu honorowego zostali zaproszeni: ks. kardynał Kakowski, marszałkowie Sejmu i Senatu Rataj i Trąmpczyński, minister oświaty dr Dobrucki, wojewoda Sołtan, rektor uniwersytetu warszawskiego prof. Hryniewiecki, Antoni Osuchowski, red. Zdzisław Dębicki, Leopold Staff, Wacław Sieroszewski, Aleksander Świętochowski, dr Daszyńska-Golińska rektorowie wszystkich uniwersytetów polskich i w. i. W programie obchodu przewidziane jest nabożeństwo, akademja i wieczornica, nadto odpowiednie uroczystości w szkołach. *k*

Z OSTATNICH NOWOŚCI WYDAWNICZYCH

BEATA OBERTYŃSKA: Pszczoły w Słoneczniku. Nakładem Bibljoteki Medyckiej. Skład główny w Księgarni H. Altenberga we Lwowie. 1927 r.

Kilkadziesiąt utworów wierszem. Można je przeczytać jednego wieczoru. Wtedy ma się ochotę czytać je i wieczorów następnych. Autorka staje się dla czytelnika człowiekiem znajomym i bliskim, który zajmująco i dowcipnie umie mówić o tem, co go cieszy i smuci, i o tem, co widać naokoło, jeśli tylko ktoś umie rzeczy spostrzegać i wyrazami oddawać ich wygląd.

Znajomym kimś i bliskim wydaje się autorka tych wierszy, bo słowa jej są dziwnie proste i przez to wiarygodne. Nie pachną drukiem; słyszy się w nich niewyszukaną mowę potoczną wtedy nawet, gdy się słowami wypowiada gwałtowne tętno, łza, westchnienie. Te słowa są świeże i wydają się bezpośrednie. Zestawiał je ktoś w recenzji z najlepszemi rzeczami Pawlikowskiej i Iłłakowiczówny. Nie może być mowy o naśladownictwie — można dojrzeć tu i ówdzie pokrewieństwo z Pawlikowską — przedewszystkiem w wysokiej kulturze malarskiej obu autorek.

Autorka pszczół umie niesłychanie podpatrywać wygląd przedmiotów z codziennego otoczenia, pamięta ich barwy, cienie rzucone i własne, refleksy, odbicia; umie wspominać o tych czynnikach krótko i trafnie i wywołuje w duszy czytelnika nadzwyczaj plastyczne i barwne obrazy z pomocą niewielu słów. Jest lakoniczna i jędrna.

Ma ogromną skalę uczuć. Od ponurego, uroczystego tempa, którem nie: przyzywa, ale: pozwala przyjść śmierci — aż do figlarnego, pustego spojrzenia na kurę na podwórku.

Ten wiersz o śmierci osobliwy. Wyrazu „śmierć" w nim niema, ale w dziesięciu krótkich, rytmicznych zdaniach poddany jest jej obraz niewątpliwy i wypowiedziany nastrój niewypowiedzianego zmęczenia. Słyszy się jakby wielkie, powoli stąpające akordy. Każde słowo doniosłe; ostatnie najmocniejsze.

Wiele wierszy w tym tomiku prosi się o muzykę. Są tak śpiewne, jakby je ktoś bardzo muzykalny tworzył przy fortepianie.

Pozyskuje inteligentnego czytelnika dowcip autorki i humor, który jej nie opuszcza nawet w najgłębszym smutku, w tęsknocie, w modlitwie, w spojrzeniu na siebie samą, a najswobodniej się wypowiada w rysowaniu rzeczy martwych i zwierząt. U niej niema właściwie rzeczy martwych. Swoją minę, ruch i wyraz ma dla niej żóraw i kądziel i miotła i drabina i kogut i kura. Jakby dalekie wspomnienie Andersena z lat dziecięcych. Nie: naśladowanie. Najdłuższy wiersz zbiorku p. t. „Z pokłonem", o mistrzowskiej formie, ma w swojej treści nastrój niesamowity wigilijnej nocy i głęboko tragiczny motyw psychologiczny na groteskowem tle. Ten wiersz jest zupełnie niepospolitem dziełem sztuki. Niewiele mamy w naszej literaturze rzeczy na poziomie tych nielicznych Pszczół w Słoneczniku. *

Heroje czyli klechdy greckie o bohaterach. Opowiedział dzieciom swoim CHARLES KINGSLEY. Przełożył Wacław Berent. Nakładem Gebethnera i Wolffa. Warszawa. Ilustracje według akwarel W. Russel Flinta. Tłocznia Wł. Łazarskiego w Warszawie. 1926.

Książka piękna na wejrzenie. Prezent pierwszej klasy. Sztywny, ciepło szary papier okładki stanowi dobrą ramę dla tytułowego obrazka. Obrazek świadczy o wysokiej kulturze artystycznej ilustratora. W kolorycie oparty na dwóch tonach barwnych: zimnym błękicie i rudawej czerwieni o małem nasyceniu i średniej jasności. W kompozycji dyskretnie symetryczny wedle osi pionowej, w rysunku nadzwyczaj subtelny i rzeczowy. Tak w Polsce nikt nie rysuje. Tak umieli rysować ci, którzy wymierają — młodzież robi karykatury albo kilimy. Wewnątrz książki ilustracyj niewiele, ale piękne. Jakby na lekko oksydowanem srebrze kładzione akwarelą zestawienia ciemnego, zimnego błękitu i tonów rudawych, żółtawych, perłowych; formy zgrabne, często osoby zbyt smukłe i długie, wątłe, o barwie kości słoniowej. Dużo motywów wyraźnie pionowych i poziomych. Naklejono te trójbarwne druki na sztywny, ciepły karton, lekko żeberkowany. Działają, jak dobre obrazy w poważnych ramach. Przypominają nieco Dulaca, tak są wykwintne, ale nie są żadnem naśladowaniem tamtych.

Papier książki nadzwyczaj miły: gładki i matowy, druk czysty, wyraźny, inicjały, nagłówki stronic, wielkość marginesów, układ kolumn — to wszystko razem stanowi całość ponętną dla każdego, kto książkę weźmie do ręki. Kupi książkę ten, kto ją na ladzie do ręki weźmie i oglądnie — nie ten, który ją przeczyta. Przeczyta ją ten, kto ją kupi z wejrzenia albo dostanie w prezencie.

W czytaniu — ta książka niewiele może zyskać, tak jest piękna z zewnątrz. Są w niej podania o Perseuszu, Argonautach i Tezeuszu, podane dla grzecznych dzieci angielskich. Historje zawiłe; łatwo się poplątać i zgubić w ich treści. Nie można powiedzieć, żeby ta lektura przykuwała uwagę, przy najlepszej woli czytelnika, jakkolwiek wiele spotyka się w tekście żywych opisów i dobrych zwrotów. Naogół jednak język przekładu polskiego jest dziwnie manjeryczny, nienaturalny. Bohaterów nigdy Polak nie nazywał herojami, tylko herosami, co najwyżej. O „prostotliwych" ludziach również nie mówi. „Okrzyknął Perseusz w załkaniu" (str. 29) to bardzo fałszywie brzmi. A ktoś tam „powziął zamysł chytry, by pozbyć się jego" — to niezgrabne. Dzierżawczemi zaimkami pokropione rzeczowniki nadają tekstowi wygląd raczej żydowski, biblijny, niż grecki. Tak wygląda to: „w świetlicy jego, oczy jego, w piersi me, tarczę moją, na piętach moich" i t. d. „Okręt rzucił się na schwał (!) w morza nagły poszum" (str. 87) — to pretensjonalne, równie jak ten sęp, który „wciąż klwa dziobem serce jego" (str. 100). Szkoda też, że tłumacz nie zna języka greckiego i przez to przekręca wyrazy greckie. Zamiast mythoj pisze muthoi, Sumjum zamiast Sunion, Pentelikos zamiast Pentelikon, Kerkuon zamiast Kerkyon, morze Czarne nazywa Euxine zamiast Euksinos i posyła kogoś do Afidnaju zamiast do Afidnów lub Afidn.

Autor fałszywie i niepotrzebnie informuje we wstępie dzieci o tem, co to metafizyka, naiwnie wiąże upadek Grecji z bezbożnością, ryzykuje przytem takie zasady moralne, jak np.: „Gdy klejnot wyrzucono na drogę, staje się on własnością tego, kto ważył się sięgnąć poń i przywłaszczyć go sobie". Zasada wątpliwa.

Ilustracje bardzo piękne. •

STANISŁAW WASYLEWSKI: O siedmiu duszach kobiety. Impertynencje współczesne. 176 str. W-ctwo Polskie. Lwów—Poznań.

Przysługa za przysługę: pani Samozwaniec poucza nas o „mężach i mężczyznach", p. W. — o „żonach i kobietach". Podobno kobieta ma siedem dusz i ósmą malutką. Jabym powiedział: siedem dusz malutkich, bardzo mizernych i ósmą wielką, bardzo wspaniałą. Ta ósma dusza gdzieś się dziś zawieruszyła — i autor, poprzez swe pozorne żarty, stara się ją odnaleźć, czy raczej zbudzić z letargu. Kobiety lubią impertynencje, ale — pochlebne; te zaś są naprawdę „impertynenckie", gdyż autor — *suaviter in modo, fortiter in re* — daje wyraz szczerej i poważnej trosce o poziom współczesnej Polki. To nie flirt pod postacią wyrzutów (jak u Makuszyńskiego): wyrzuty pod postacią flirtu. Książka, choć nieco trąci fejletonem, jest cenna. Nader piękne są rozdziały: „Na zielonej trawie" oraz „Kobieta i jej dostęp do morza". Wydanie bardzo dobre, na grubym papierze bezdrzewnym. *-w-c-i*

Nasza Bibljoteka. Nr 15. LEON ŻYPOWSKI: Powstanie listopadowe (z ilustracjami). 48 str. Zakł. Nar. im. Ossolińskich. 1926.

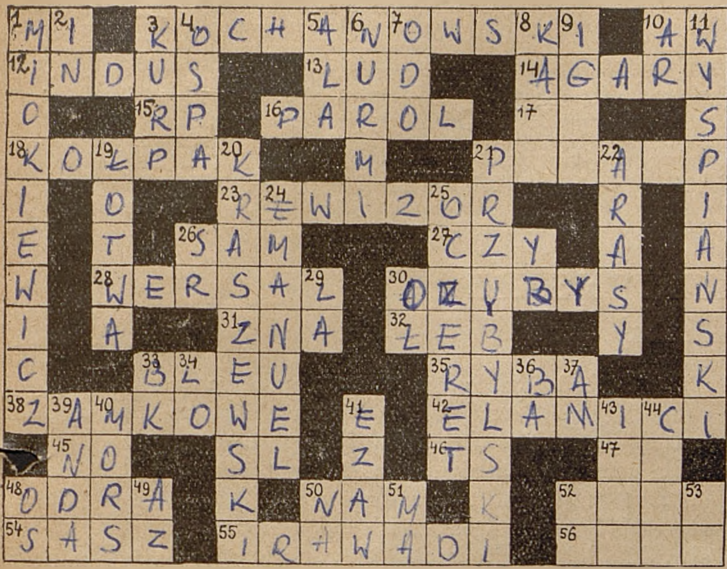
Zajmująco — miejscami w formie nawpół belletrystycznej — opowiedziane dzieje powstania listopadowego. Książeczkę tę, jak wogóle wszystkie tomiki „Naszej Bibljoteki", młodzież szkolna przeczyta z przyjemnością i pożytkiem. *-w-c-i*

EDWARD SCHURÉ: Ewolucja Boska od Sfinksa do Chrystusa. Tłumaczyła ANNA LEO-ROSE. 331 str. M. Arct w Warszawie. 1926.

Nieporozumienie zaczyna się wraz z tytułem: chodzi tu bowiem nie o ewolucję boskości w sobie, lecz o ewolucję idei boskiej w ludzkości. A to chyba różnica nie drobna. Następnie... czy to filozofja? czy poezja? czy systemat pragmatycznych wskazań? Ani to trzecie, gdyż nietylko nie daje w najmniejszej mierze, lecz bodaj nie usiłuje nawet dać odpowiedzi na sokratesowskie: „hóntina trópon chre dzen" (jak należy żyć?). Ani to drugie, bo aczkolwiek rzecz jest napisana z prawdziwym i pięknym polotem (co z przyjemnością podkreślamy), autor traktuje swe opowieści z głębokiem przekonaniem i najoczywiściej żąda od nas całkowitej wiary w nie. Ani wreszcie — żadną miarą! — to pierwsze. Stopniowy rozwój filozofji polega na żmudnem wznoszeniu się od empiryzmu — dogmatyzmu — poprzez sceptycyzm — krytycyzm — do najwyższego, w filozofji absolutnej osiąganego szczebla: metody genetycznej, gdzie odkrycie prawdy utożsamia się już z wytworzeniem prawdy. Po Kancie wolno już tylko iść od krytycyzmu wzwyż, wszelki zaś nawrót od krytycyzmu wstecz jest niedopuszczalny. Tymczasem nasz autor operuje jakimś stopem dogmatyzmu z empiryzmem, a nawet, oględniej powiedziawszy: z rzekomym empiryzmem. Rozpowiada nam nietylko o wyglądzie, kulturze i obyczajach mieszkańców Atlantydy i jeszcze znacznie dawniejszych kontynentów, lecz ba! cofając się o jakieś sobie parę miljardów lat, opisuje nadludzi, zamieszkujących słońce etc. etc. Jakże mamy na to reagować? Zaprzeczać? Kiedy rozumowo zbijać można tylko rozumowe przesłanki, a tu niemasz ich ani śladu. Wierzyć? Ale znowuż dlaczego? Skąd p. Schurému wiadomo, że lemuryjczyk podobny był „nie tyle do ryby, ile do długiego węża, o ciele zielonawo-niebieskiem, galaretowatem" itd? Wie on o tem od jasnowidzów. Pomińmy całą nieskończoną mętność tego źródła informacji i przypuśćmy na chwilkę, że wszystko to ściśle odpowiada rzeczywistości. Cóż mi z tego za korzyść, skoro zdobyłem te wnioski nie przez świadomy rozwój rozumu, lecz przeciwnie, kazawszy rozumowi zamknąć oczy? Bolszewicy wypisują na każdym murze: „Religja — to opjum ludu". W odniesieniu do chrześcijaństwa jest to fałsz wierutny, gdyż żadna w świecie księga nie kładzie tak potężnego nacisku na samorzutność rozumu (w najszerszem znaczeniu), jak Ewangelja. Natomiast prawdziwe opjum widzimy w takich dziełach jak omawiane: kto je przeczyta bez wiary, ten pozostanie *„klug, als war bevor"*; kto je przeczyta z wiarą, ten ulega zachloroformowaniu władz krytycznych swego umysłu. — Przykro nam pisać tak ujemnie o dziele, pełnem niewątpliwej dobrej woli, wydanej po polsku ładnie i ze smakiem. Ale maxima amica Veritas. *-w-c-i*

ROZRYWKI UMYSŁOWE

1. KRZYŻÓWKA



I. Wyrazy poziome. **1.** Litera grecka. **3.** Poeta polski. **10.** Skrót biura telegraficznego. **12.** Rzeka w Azji. **13.** Grupa etniczna. **14.** Uliczniсy w gwarze. **15.** Skrót przy telegramach. **16.** Hasło. **17.** Nazwa litery. **18.** Rodzaj czapki. **21.** Rozwiązany urząd aprowizacyjny. **23.** Kontroler. **26.** Bez towarzystwa. **27.** Pytajnik. **28.** Miejscowość w Francji. **30.** Bóstwo egipskie. **31.** Wie. **32.** Głowa. **33.** Nazwa koloru po francusku. **35.** Kręgowiec. **38.** Inaczej „pałacowe". **42.** Dawni mieszkańcy Mezopotamji. **45.** „Nie" w obcym języku. **46.** „Dtto" inaczej. **47.** Nazwa tonu. **48.** Choroba zakaźna. **50.** Zaimek w 3 przyp. **52.** Wielki przedsiębiorca amerykański. **54.** Niemiecka nazwa miasta w Czechach. **55.** Rzeka w Indochinach (fonet.). **56.** Rzeka w Niemczech.

II. Wyrazy pionowe. **1.** Poeta polski. **2.** „W" w kilku obcych językach. **3.** Członek jednego z szczepów polskich. **4.** Choroba zakaźna. **5.** Zdrobniałe imię żeńskie. **6.** Najsłynniejszy obecnie lekkoatleta. **7.** Imię męskie średniowieczne. **8.** Wykonawca sprawiedliwości (w formie przysłowiowej). **9.** Kochanka Don Juana. **10.** Miara powierzchni. **11.** Poeta polski. **19.** Państwo europejskie. **20.** Powieściopisarz polski. **21.** Komedjopisarz polski. **22.** Dywany (fonet.). **24.** Imię męskie. **25.** Rodzaj trzciny. **29.** Rodzajnik romański. **34.** Zdrobniałe imię żeńskie. **36.** Wykrzyknik. **37.** „Na" w obcym języku. **39.** Zdrobniałe imię żeńskie. **40.** Herb polski. **41.** Postać biblijna. **43.** Żebrak z Homera. **44.** Inaczej naskórek. **48.** „Kość" w obcym języku. **49.** Granice alfabetu. **50.** Przyimek miejsca. **51.** Posiada. **52.** Litera grecka. **53.** Skrót tytułu.

2. ŻARTOBLIWE PYTANIE

Co to jest, czem Prezydent Ignacy Mościcki przewyższa trzykrotnie Marszałka Focha, bez czego nie można mieć Niemiec, ale tkwi w środku każdego przeczenia, natomiast napróżno szukałbyś tego w teatrze? Dla ułatwienia przypomnijcie sobie, od czego zaczyna się charleston, a co kończy każdą noc?

NA|GA|SA|KI
1 2 3 4

3. SZARADA

(Ułożył M. Sławnicki)

Czy **pierwsze i drugie,** — czyli rzekniesz: goła, —
Na jedno wychodzi;
Trzecie — czwarte chwycił, „będzie połów!" woła,
Więc po stawie brodzi;
Pierwsze wspak i trzecie czuje zaraz dama
Gdy się „wiek" jej bada;
Poszłaby do **czwarte — pierwsze,** — ale mama
Mówi: „nie wypada!"
Trzecie — drugie — oraz półpierwsze jest czasem
W kuchni wśród naczynia;
Pierwsze — czwarte — trzecie dobrze chleb, gdy kwasem
Ciasto się rozczynia;
Wspak trzecie — wspak pierwsze ma szlacheckie miano
Herbu: **trzecie — trzecie;**
Najważniejsze karty gdyby ferbla grano:
Trzecie wspak w komplecie;
Pierwsze wspak i pierwsze — czy **drugie wspak = pierwsze,**
To kobiet imiona;
Pierwsze — drugie — pierwsze... za te kiepskie wiersze
Będzie zasłużona!
Gdy **całość** chcesz poznać, — to ani w Kanadzie,
Ani w Macedonji,
Ni na Filipinach, — lecz pędź w galopadzie
Aż hen... do Japonji!

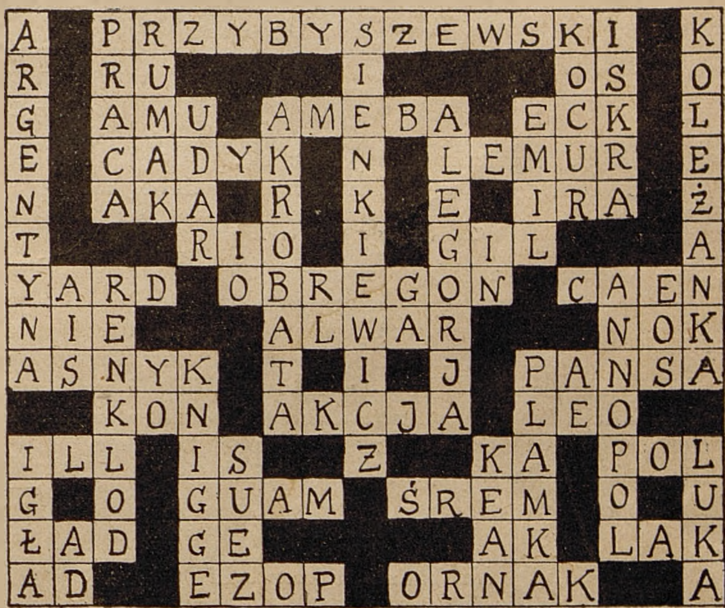
Trzy trafne rozwiązania niniejszych zagadek zostaną nagrodzone w drodze losowania. Na nagrody przeznacza redakcja „Świata Kobiecego":
1. Kryształowa żardinjera na kwiaty.
2. Książka Wł. Tatarkiewicza: „Pięć studjów o Łazienkach".
3. Półroczna prenumerata „Świata Kobiecego".

ŚWIAT KOBIECY. KUPON Nr 4.

Rozwiązania, zaopatrzone powyższym kuponem, który należy wyciąć, nadsyłać do redakcji (Lwów, Chorążczyzna, 27) w nieprzekraczalnym terminie do 31 marca b. r.

ROZWIĄZANIE ZAGADEK Z NUMERU 4

1. KRZYŻÓWKA



2. ZAGADKOWY NAPIS

Od zagadkowego napisu trzeba odjąć litery odpowiedzi, ujmując po dwie z każdego słowa. Otrzymamy:

„Gość w dom, Bóg w dom."

3. REBUS

„Obowiązkiem obywatelki jest praca narodowa."

Z żalem przyznać musimy, że do krzyżówki zakradł się błąd, jedno mianowicie pole białe wyszło na kliszy czarno. Dlatego kupon Nr 3, z którego wiele Czytelniczek nie skorzystało, można dołączyć obok kuponu Nr 4, a przez to zyskuje się dwa losy do losowania. Oczywiście, błąd ten wzięliśmy pod uwagę przy ocenianiu trafności.

Wynik losowania:

Z nadesłanych 231 rozwiązań nagrodę pierwszą (oryginalną barwną akwafortę F. Jabłczyńskiego) otrzymała w losowaniu: p. S. Juśkiewiczówna, Lwów.

nagrodę drugą (ozdobnie oprawną książkę: Makowieckiego „Kwiaty ogrodowe"): p. W. Borysow, Włocławek.

nagrodę trzecią (półroczną prenumeratę „Ś. K."): p. I. Huczkowska, Warszawa.

PAPIEŻ BŁOGOSŁAWI

(Początek na str. 105)

błogosławieństwa, tak serdecznie z tamtym ruchem zespolony, jakby oba tworzyły jeden gest, jakby oba wyjaśniały ten wyraz szczery i prosty, jaki w tej chwili podnosi się ze wszystkich ust: papa. Dookoła żywego feretronu przesuwa się orszak fantastyczny: zakonnicy i biskupi, rycerze w stalowych pancerzach, dostojne postaci w czarnych aksamitach z kryzowemi kołnierzami, strusie pióra, koronki, czerwone dalmatyki, szeleszcząca jedwabiem purpura kardynalska, — tłum barwny i świetny, który zdaje się wchodzić w jakieś drzwi, otwierające się na przeszłość, a zamknięte przed dniem dzisiejszym. W wyobraźni powstaje wizja dawnych triumfów rzymskich. W istocie jest to triumf, z całą swoją pompą, ale równocześnie pomnożony o wzniosłość jedynie duchowej władzy. Zdawało mi się widzieć we Włoszech, jak witano króla lub Mussoliniego, hałaśliwe manifestacje faszystowskie o entuzjazmie poprostu zawodowym, ale żadna nie przedstawiała tej pełni zachwytu, czci, ufności, jaką zawiera każde powitanie papieża. Odsunięty od spraw doczesnych, otoczony murami Watykanu, papież wydaje się być właściwym panem tego miasta, istotnym następcą triumfatorów i Cezarów.

Jan Parandowski

USTAWY MAŁŻEŃSKIE

(Początek na str. 106)

Rzymska rodzina dlatego była przykładna, że się do niej żadna władza nie miała prawa mieszać. Jeżeli my opierać chcemy trwałość naszej rodziny tylko na surowym nadzorze władzy, mniejsza o to, czy świeckiej, czy duchownej, to zapominamy o istocie rodziny, o duchu, który ją ożywiać i łączyć powinien.

Dobrze, że nie chcemy dopuścić do eksperymentów w tej dziedzinie. Ale to nie wystarcza. Trzeba przez stosowne zrozumienie obowiązków wychować składniki przyszłych rodzin tak, ażeby one nietylko przez kontrakt ślubny, ale przez istotę swoją były rodzinami w prawdziwem słowa znaczeniu. Celem rodziny jest wychowanie przyszłych pokoleń. Wychowanie nakłada na wychowawców obowiązek uważania na siebie, dawania dobrego przykładu, unikania zgorszenia. Kto takich ograniczeń nie chce brać na siebie, niech nie wchodzi w związki małżeńskie. Kto takie ograniczenia bierze i dotrzymuje, ten zasługuje na godność kapłaństwa ogniska domowego.

Jan Zamorski

TEMPO

(Początek na str. 110)

— To mój narzeczony, pan Sarnowski.
— Szykowny — i temperament musi mieć, ho, ho!

20 maja u matki Izy

— Więc co, rozchodzicie się?
— No tak, mamo, cóż chcesz! Sarnowski jest do niczego. Ten majątek — to blaga, działy nie skończone, a teraz jeszcze im połowę biorą na reformę, długów ma po uszy. Zresztą dotychczas nie mamy widoków na mieszkanie, już mi się to znudziło. Żałuję, że wtedy puściłam kantem Gierlicza, wiesz, mamo, tego łysego dyrektora z Łodzi, pamiętasz? Ciekawam, co on teraz robi, trzeba się będzie dowiedzieć...

IV. ROK 1942

Na lotnisku w poczekalni

— Pan do Gdańska?
— Tak.
— Pan warszawianin?
— Tak.
— Kiedy pan wraca?
— Dziś wieczorem o 8.
— Mogę przyjść o 8'30?
— Proszę.
— Podobam się panu?
— Tors trochę słaby.
— To się tylko tak w ubraniu wydaje. Wczoraj w Wiśle zrobiłam 40 metrów w 22 sekundy, temperatura wody + 3 stopnie.

Nazajutrz rano

— Mieszkania nie masz?
— Nie.
— No to możesz, Stefie, przysłać tu rzeczy do mnie zaraz, ale rozlokujesz się dopiero wieczorem, bo mama dzisiaj przeprowadza się do swego narzeczonego. Tylko przed przysłaniem rzeczy złożysz kaucję i zobowiążesz się na piśmie, że w razie czego wyprowadzisz się ode mnie za 3-dniowem wymówieniem i bez odszkodowania.

M. Nagoda

CZEKANIE

(Początek na str. 111)

Najgorsze jest czekanie w domu. Ze wszystkich mąk — najstraszniejsza udręka. Czekać w domu — to znaczy najpierw śpieszyć się, żeby wszystko było na czas i nie denerwować się w ostatniej chwili. A potem, tą ostatnią chwilą jest, jak się okazuje, cała godzina, jeśli nie dwie.

Pewno jeszcze najlepiej leżyć. Przecież nic robić niepodobna! Leżyć — to już zajęcie, bo się ciągle można zrywać. Żeby przypudrować nosek, zapalić i rzucić papierosa, inaczej ułożyć kwiaty lub ciasteczka przesunąć więcej na jeden brzeg talerzyka... Albo podbiec do okna, zobaczyć, jak wejdzie do bramy. A potem lękać się, że w międzyczasie, gdy się nadsłuchiwało, znikł, rozpłynął się, nie dojdzie, nie zadzwoni, nie zapuka. Bo właściwie chodzi o to zadzwonienie, zapukanie do drzwi. Tego się czeka! Nie, jego! I to właśnie wydaje się takie niemożliwe, schodzi do rzeczy nieomal cudownych, a gdy się stanie, jest proste i zupełnie naturalne.

Są kobiety, które czekając nienawidzą — tyle cierpień ono sprawia!

Inne wtedy go najwięcej i może jedynie kochają, rozumując, iż gdyby nie kochały, nie przeżywałyby tych niepokojów. Ale naturalnie to nie ma żadnego znaczenia. Przecież czekanie budzi uczucia niewspółmierne do prawdziwego stanu serca.

Aurelja Wyleżyńska (Paryż)

O MARJAŻACH I SUKNIACH ŚLUBNYCH

NIESŁYCHANIE wiele zmieniło się od czasu, kiedy Balzac, opisując społeczeństwo francuskie, niejednokrotnie z jemu tylko właściwą dokładnością, kreślił dzieje zawieranych małżeństw i to nietylko ich jawne i ukryte motywy, lecz i wszystkie połączone z niemi obrządki i formalności. Lecz jakkolwiek zmieniła się nieco istota małżeństwa, jakkolwiek innemi drogami zbliżają się ku sobie przyszli małżonkowie, to jednak zawarcie małżeństwa pociąga za sobą dla ludzi należących do towarzystwa cały szereg form, z pod których się wyłamywać nie mogą, a nawet może i nie chcą.

Pierwszym z obrządków nieodwołalnych są oficjalne oświadczyny o rękę córki, prośba u rodziców o zgodę na spełnienie przez córkę już danej obietnicy. Od dnia tego młodzieniec asystuje narzeczonej, biorącej nadal udział w życiu towarzyskiem, którego dawniej musiała zaniechać aż do dnia ślubu. Umowa majątkowa zawierana między rodzinami ma nadal swe olbrzymie znaczenie, właściwie po jego zawarciu zaręczyny mają charakter poważny, dopiero wtedy też narzeczony występuje z prezentami, rodzice rozsyłają karty z zawiadomieniem.

Wszystkie te drobnostki tak są uświęcone przez zwyczaj, że raziłoby dziś ludzi dobrze wychowanych zawiadomienie inaczej niż w imieniu rodziców obojga narzeczonych i na szlachetnym papierze drukowane. Nawet kolejność podpisów na kontrakcie ślubnym jest ściśle przestrzegana: pan młody, panna młoda, jego matka, jej matka, czterej świadkowie.

Ślub cywilny odbywa się 24 godzin przed ślubem w kościele. Panowie są w żakietach, panie w eleganckich poobiednich tualetach.

Organizacja obrządku ślubnego wymaga wprost strategicznych zdolności, ażeby wszystko odbyło się jak należy i nikogo nie urazić. Szczególną trudność przedstawia kolejność w orszaku ślubnym. Naogół przyjętym jest, że wiek stanowi o pierwszeństwie. Druchny powinny według zwyczaju



Ryc. 20. Ślubna suknia z białej crêpe satin; przód z koronki brukselskiej spięty artystyczną klamrą. Welon haftowany ręcznie na tiulu.



Ryc. 21. Ślubna suknia z białej crêpe de Chine. Welon tiulowy wykończony bortą koronkową.
Ryc. 22. Suknia dla matki panny młodej z crêpazur w kolorze vieux rose, przybrana złotym haftem.
Ryc. 23. Ślubna suknia z białego jedwabnego muślinu. Welon tiulowy wykończony koronką.

być ubrane w sukienki tego samego koloru. Najcięższym jednak z nakazów dobrego tonu przy tej okazji jest właściwie zakaz noszenia okryć przy opuszczaniu kościoła i to niezależnie zupełnie od pogody.

Po obrządku ślubnym następuje naogół śniadanie lub cukrowe przyjęcie w wynajętej sali hotelowej, podczas którego młoda para uświęconym przez tradycję zwyczajem wymyka się i udaje w również uświęconą zwyczajem podróż ślubną, podczas gdy zaproszona młodzież tańczy a starsze panie rozprawiają o posagu i wyprawie.

A więc wszystko to dzieje się prawie tak samo jak u nas; a co do sukienek ślubnych i innych tualet, połączonych z obrzędami, prowadzącemi do ołtarza, to nadają się one całkowicie i dla nas. Zaznaczyć zaś należy, że nigdy może moda nie ułatwiała tak jak obecnie stworzenia sobie sukienki ślubnej, prostej, wytwornej i eleganckiej, ponieważ faworyzuje ona prostotę linji i miękkie, doskonale układać się pozwalające materjały. Główny więc nacisk kładzie się na linję, na pewną rozszerzającą się ku dołowi obfitość spódniczki i w tym celu używa się przeważnie crêpe satin, a tylko przy bardzo wspaniałych toaletach ślubnych materjałów wytłaczanych srebrem. Przybrana jest suknia ślubna przeważnie haftem z pereł i srebra. Suknia ślubna jest zazwyczaj krótka, iluzję trenu nadaje jej długi bardzo welon.

Welon jest nadal noszony z cieniutkiego tiulu lub koronki.



Ryc. 24. Ślubna suknia z białej crêpe de Chine. Welon skombinowany z gładkiego tiulu białego i srebrnej koronki.

Bardzo oryginalne są upięcia welonu. Najczęściej obierany jest kształt korony, wtedy upięcie to jest z tiulu lub koronek, które przeważnie zdobią też wycięcie sukienki i rękawy. Kształt ten upięcia jest bardzo uroczysty, ale nadaje się jedynie do doskonałego owalu twarzy, łatwo też zbytnio obciąża główkę, szczególnie o ile korona przybrana jest perłami lub innemi kamieniami. Jeżeli się obiera to upięcie, a chce, by ono było bardzo lekkie, można koronę ułożyć z tiulu i spiąć kwiatem pomarańczowym. Nowsze w zastosowaniu do sukienki ślubnej jest upięcie turbanowe welonu, końce turbanu tworzą jakoby skrzydła, nadając powiewność całej toalecie ślubnej.

Kwestja pantofelków do toalety ślubnej nie jest radykalnie rozwiązana. Niewiasta, nie zwracająca uwagi na koszta, wybierze oczywiście pantofelki z tego samego jedwabiu co i suknia. Ale kobieta, praktyczniej myśląca, zastanowi się, czy nie dałoby się połączyć pięknego z nadobnem, w tym wypadku: pięknego pantofelka z możliwością dalszego użytku. W rezultacie tych namysłów coraz częściej widzimy srebrny pantofelek, który zupełnie nie razi do ślubnego stroju, a który można potem nosić do balowej sukienki. Wybierać naturalnie należy srebrne brokaty, nie nazbyt błyszczące.

Ponieważ pary, podążające w orszaku ślubnym, są swego rodzaju widowiskiem dla tłumu, panie nadzwyczaj starannie naogół obmyślają swe stroje, aby okazać się na wysokości zadania, a mianowicie: aby pomimo zaakcentowania osobistego w niczem nie psuć harmonji całości. Bardzo często też mają miejsce narady między paniami, przyjmującemi udział w orszaku ślubnym. Wybierane są naogół kolory dyskretne, szafirowy, granat, bordo, szary, a przedewszystkiem i głównie czarny kolor. Materjały te same, co zazwyczaj na suknie poobiednie, a zatem crêpe Georgette, crêpe de Chine, velour, mousseline de soie. Kapelusze aksamitne i filcowe są dobrane ściśle pod kolor sukni, są one nieco więcej przybrane, niż kapelusze noszone na ulicę, ale jednak im mniej, tem lepiej. Mówiliśmy już



o tem, że druchny zazwyczaj noszą sukienki w tym samym kolorze, wybór tego koloru jest nader trudny, bo musi być odpowiednim dla wszystkich. Przeważnie wybierane są odcienie bardzo delikatne, jakiś jasno seledynowy, blado niebieski. O ile sukienka druchny jest stylowa, używa się aksamitu lub tafty, pozatem zaś noszone są jak najlżejsze jedwabie i muśliny.

Bardzo pięknie ubrane są zwykle dzieci, należące do orszaku. Dziewczynki w krótkich jedwabnych strojnych sukienkach, przeważnie o obcisłych staniczkach bez rękawów i obfitych z falbanek spódniczkach, podobne są do uroczych laleczek. Mniejsi chłopcy noszą też ubranka z jasnego jedwabiu o króciutkich spodenkach i krótkich rękawach, starsi nieco chłopcy, dla których największą przyjemnością są długie spodnie, mają bardzo wiele możliwości stylowych kostjumów, przyczem krótka kurteczka z aksamitu, kołnierzyki, falbanki i riuszki z jedwabiu nadają im wyglądu przebranych po męsku dziewczynek.

Widzimy więc, że wszyscy starają się, aby orszak ślubny był w miarę możności wspaniały i piękny. Panna młoda, opuszczając dach rodzinny, unosi ze sobą wspomnienie tych wszystkich świątecznie przybranych postaci, które odprowadzają ją do stopni ołtarza.

Zofja Kramsztyk (Paryż)

Ryc. 25. Suknia wieczorowa z niebieskiej crêpazur, przybrana koronką złotą lub srebrną i perełkami.

Ryc. 26. Płaszcz z szarego materjału, podszyty różowym jedwabiem.


26



Ryc. 27. Ślubny welon modnie upięty, przybrany na przodzie perłami.







Ryc. 28. Kapelusz z błyszczącego jedwabiu, przybrany rajerami.

Ryc. 29 a. Modne rękawiczki białe z czarnem wyszyciem.

Ryc. 29 b. Parasol jedwabny z rączką w kształcie stylizowanej głowy ptaka.

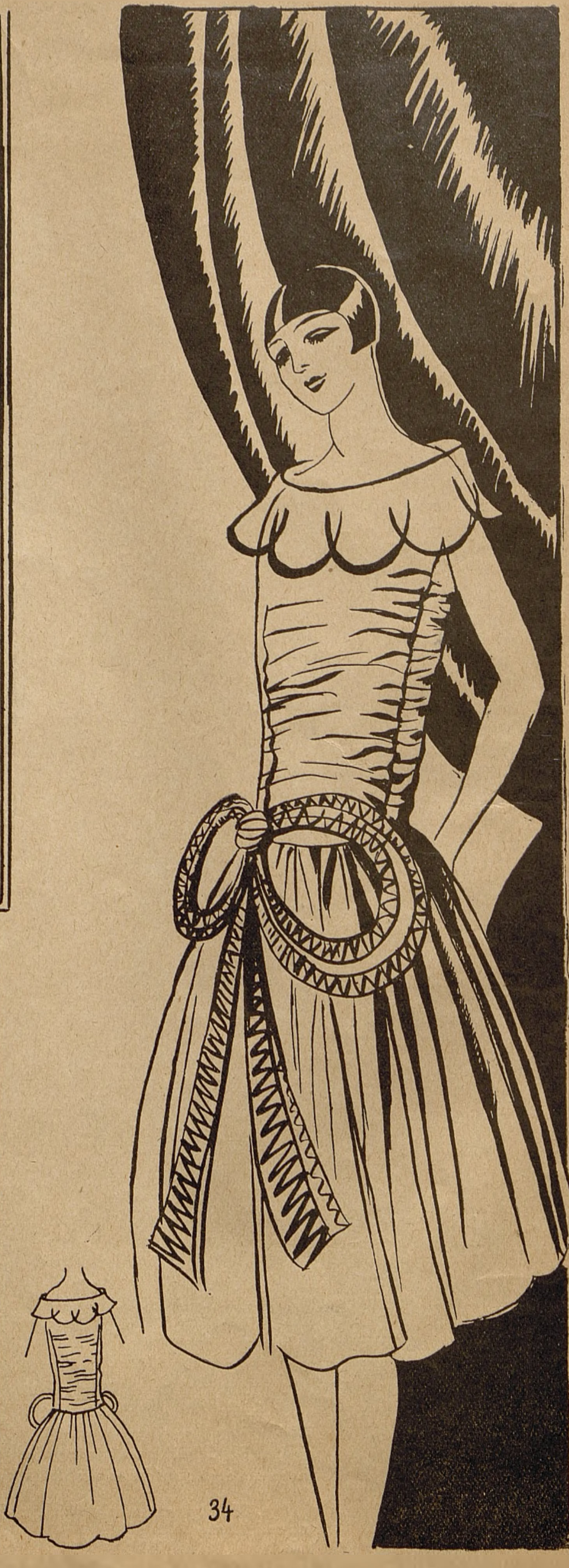


Ryc. 30. Sukienka z niebieskiej jedwabnej krepy, przybrana bukiecikami różyczek.

Ryc. 31. Suknia ze sztywnego jedwabiu przybrana rolkami z marszczonego materjału; spódniczka u dołu lekko przymarszczona.

Ryc. 32. Stylowa suknia z białego jedwabnego muślinu, przybrana riuszkami i kokardą.





Ryc. 33. Suknia z blado zielonej crêpe de Chine, ozdobiona lekim haftem; kołnierzyk związany wąską wstążeczką.

Ryc. 34. Stylowa suknia z tafty z wielką kokardą na przodzie ze sztywnej wstążki.

AFORYZMY

Kobieta jest zawsze niezrozumiana, ale za najgłupszego będzie uważać tego, który ją zrozumie.

*

Kobieta, jak bomba, wybuchając najwięcej szkodzi samej sobie.

*

Największem niebezpieczeństwem dla kobiety jest ona sama.

*

Gdzie kończy się rozum mężczyzny, tam zaczyna się spryt kobiety. *E. Sz.*

ROBOTY RĘCZNE



OBJAŚNIENIA

16. „TAŚMA DO DZWONKA". — Taśma z grubego szarego płótna, na którem deseń wyszyty kolorowemi włóczkami. Płótno musi być podwójne, zeszyte po zrobieniu obydwóch stron. Kolory: pomarańczowy, czerwony i zielony.

17. „KORONKA DO ALBY". — Fragment koronki natiulu „filet", do zakończenia dołu i do rękawów alby. Ścieg zwykły, t. j. przewlekanie nitki przez oczka tiulu (cerowanie).

18. „PODUSZKA DO INSYGNIÓW KOŚCIELNYCH". — Poduszka z białego lub kremowego atłasu. Wyszycie haftem płaskim w kolorach złotym i jasno-różowym.

19. „ANTEPEDIUM". — Antepedium koloru morelowego, na którym deseń wyszyty haftem płaskim w kolorach: różowym, szaro-niebieskim, oliwkowym w różnych tonach i starem złotem (vieilor). Ścieg dowolny, przystosowany jedwab do formy ornamentu.

20. „KORONKI DO BIELIZNY KOŚCIELNEJ". — Dwa fragmenty koronki filet, przeznaczonej do zakończenia różnych drobiazgów w bieliźnie kościelnej.

21. „KOLUMNA ORNATU", „FRAGMENT HAFTU" I OSTATNIA STRONA OKŁADKI. — Ornat adamaszkowy w dowolnym kolorze liturgicznym. Kolumna adamaszkowa biała lub kremowa, haft płaski złotem lub srebrem, zależnie od koloru ornatu.

Ostatnia strona okładki jest fragmentem kolumny, wielkości naturalnej.

Wszelkich porad w sprawach robót ręcznych

udziela redakcja ustnie albo pisemnie.





KORONKA DO ALBY

TAŚMA DO DZWONKA

PODUSZKA DO INSYGNIÓW KOŚCIELNYCH

RĘCZNE

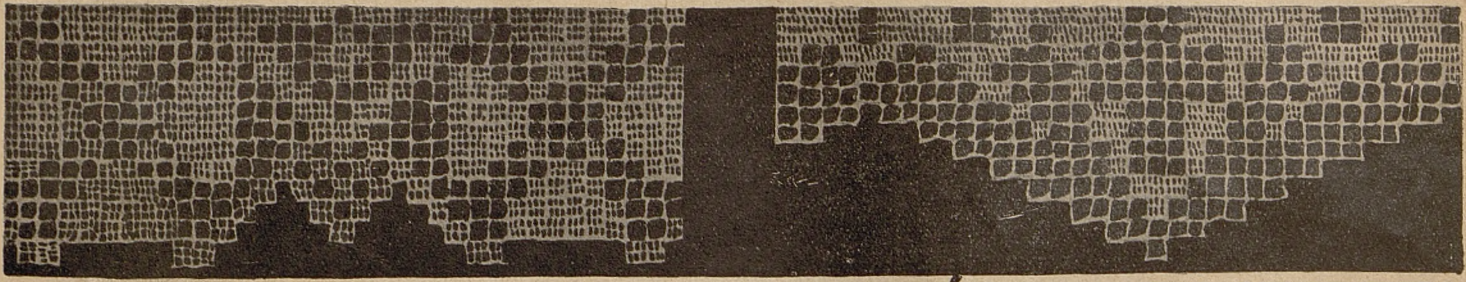


ANTEPENDJUM



NAKRYCIE NA CYBORJUM

ROBOTY RĘCZNE



KORONKI DO BIELIZNY KOŚCIELNEJ (FILET)



STUŁA

KOLUMNA ORNATU

FRAGMENT HAFTU

KOLUMNA ORNATU

KĄCIK PRAKTYCZNY

KOSTJUM

USZYCIE zwyczajnego kostjumu nie przedstawi żadnych trudności, jeśli zastosuje się wskazówki, podane w rozdziale o płaszczu. Żakiet szyje się zupełnie tak jak płaszcz, tylko krótszy. Więcej trudności sprawia uszycie kostjumu angielskiego. Dlatego chcemy wtajemniczyć nasze Czytelniczki w tę wiedzę, tak bardzo przez zręczniejsze z nich pożądaną.

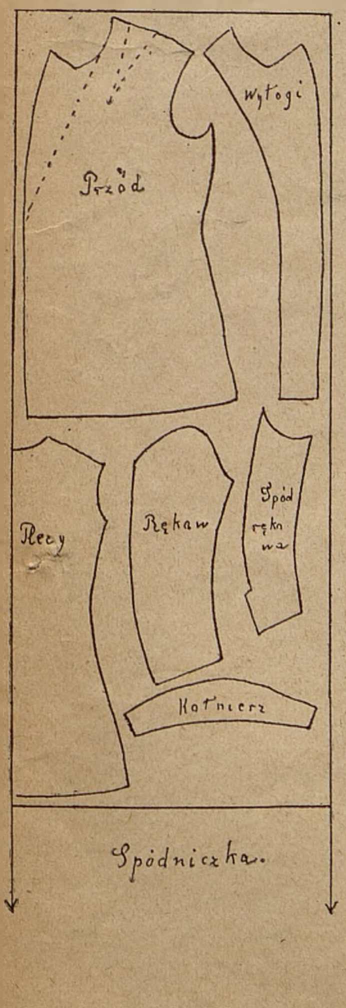
Rysunek 1. przedstawia kostjum, którego powstawanie podamy we wszystkich szczegółach, tak, że Czytelniczka, stosująca się dokładnie do wskazówek, posiędzie ubranie „jak od krawca!"

Wybór kroju i przystosowanie go do figury omówiono już w pierwszych rozdziałach. Przy krajaniu należy pamiętać o dodaniu na szwy i o stosownych częściach na pokrycie wyłogów. Wszystkie części główne muszą być krajane w tym samym kierunku nitki. Dla osoby średniej tuszy wystarczy 2 m 75 cm materji szer. 140—150 cm.



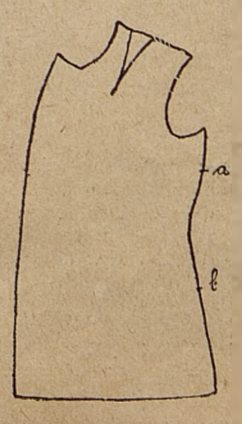
rys. 1

Na rysunku 2. widzimy, jak się przykłada krój na materję. Spódniczka zawijana kraje się z jednej szerokości. Przed próbą fastryguje się wszytki na przodach. Boczny kraj materji naciąga się zapomocą prasowania w miejscu najwięcej wyciętem, rys. 3, a—b. Tak samo postępuje się z plecami. Po prasowaniu próbuje się sfastrygowany żakiet, przyczem pamiętać należy, że powinien być dość wolny, gdyż otrzyma jeszcze wkładkę z płótna i podszewkę, przez co stanie się obciślejszym. Jeśli próba zadowoliła, zszywa się wszytki i rozprasowuje. Szwów bocznych i na ramionach nie zszywa się jeszcze. Przedtem wykonywa się kieszenie w przodach. Nasz model posiada kieszonkę u góry lewego przodu. Kieszenie omówiono już dokładnie w rozdziale o płaszczu, więc tylko w krótkości przypomniemy sposób wykonania. Listewkę kraje się z płótna bez dodatku na szew i z materji z dodatkiem.



rys. 2

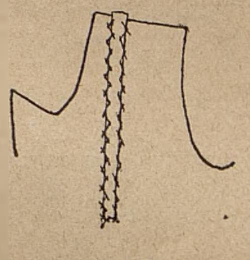
Z trzech stron przyfastrygowuje się materję na płótno, zagina na lewą stronę i przyszywa jak obrąb. Dolna część zostaje otwarta. Tym brzegiem przyszywa się listewkę wzdłuż kreski, znaczącej kieszeń, prawą stroną do wnętrza i dołu. Górą przyszywa się przystająco podszewkę kieszeni, zacina między podszewką a listewką i przewleka kieszeń przez otwór. Listewkę stawia się do góry i zapodszewkowuje drugim końcem kieszeni, poczem zszywa się boki.



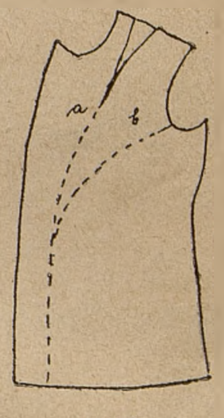
rys. 3

Listewkę umacnia się podanym już sposobem. Teraz kraje się wkładkę z miękkiego płótna. Dla osób szczupłych wystarczy ukroić węższą wkładkę, rys. 4 a, dla tęższych lepiej dać szeroką, rys. 4 b. Jeżeli daje się szerszą, wycina się w niej wszytkę od ramienia do piersi i przyszywa na niej pasek podszewki po obu stronach ściegiem krzyżowym, rys. 5. W wysokości piersi kraje się małą wszytkę poprzeczną, którą pokrywa się również paskiem podszewki, rys. 6. Tak przygotowaną wkładkę prasuje się, lecz tak, żeby nie straciła nic na wypukłości.

Po wyprasowaniu przyfastrygowuje się na nią przody, przypięte poprzednio szpilkami. U wycięcia szyi powinna wkładka wystawać z 2 cm, tak samo na ramieniu i w pachach. Naokoło wyłogu i wzdłuż przedniego brzegu ucina się płótno wkładki na szerokość 1 cm. Następnie przyszywa się naokoło rewersu i brzegu pasek lub tasiemkę szer. 2 cm ściegiem krzyżowym na płótnie, a dużym ściegiem przed igłę na materji, rys. 7. Przytem przez róg tasiemkę daje się luźno, wzdłuż wyłogu dobrze naciągniętą, w miejscu wykładania luźno, a poniżej znowu naciągniętą. Przez takie przyszycie tasiemki unika się wstawania wyłogów i rozchodzenia się przodów dołem.

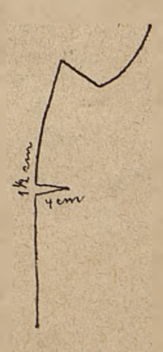


rys. 4



rys. 5

Płótno przypikowuje się do materji na wyłogu aż 2—3 cm poza linję wyłożenia. Ściegi pikowania nie śmią być widocznemi po prawej stronie, mogą one zaznaczyć się najwyżej małemi dołkami, które po wyprasowaniu znikną. Wzdłuż linji wyłożenia przyszywa się tasiemkę, wyciągając ją dobrze, co zapobiega wyciąganiu się zagięcia przy prasowaniu, rys. 8. Do tak przygotowanych przodów przyfastrygowuje się z prawej strony pokrycie wyłogów, które górą daje się dość szerokie, żeby przy wyłożeniu podszewka nie wyglądała. Pokrycie daje się na wyłogu dość luźno, poniżej równo. Pokrycie wyłogów może być dołem sztukowane.



rys. 6

Teraz stebnuje się szew na samym brzegu, wypruwa fastrygę i wywraca pokrycie wyłogu. Dobrze wywrócony brzeg fastryguje się na kraju drobnemi ściegami.

Boczne kieszenie wrabia się również przed zszyciem przodów z plecami. Robi się je z klapą lub lamowane, obydwa sposoby opisano w rozdziale o płaszczu. Powtórzymy tu krótko kieszeń lamowaną. Po obu stronach linji, zaznaczającej kieszeń, fastryguje się 2 równe paski materji szer. 4 cm. Dla umocnienia dolnego brzegu dobrze dodać pasek mocnej podszewki na pasek z materji i razem przystebnować. Po stebnowaniu przecina się otwór na kieszeń, przewleka lamówki na lewą stronę, fastryguje na brzegach i stebnuje przy szwie. C. d. n.



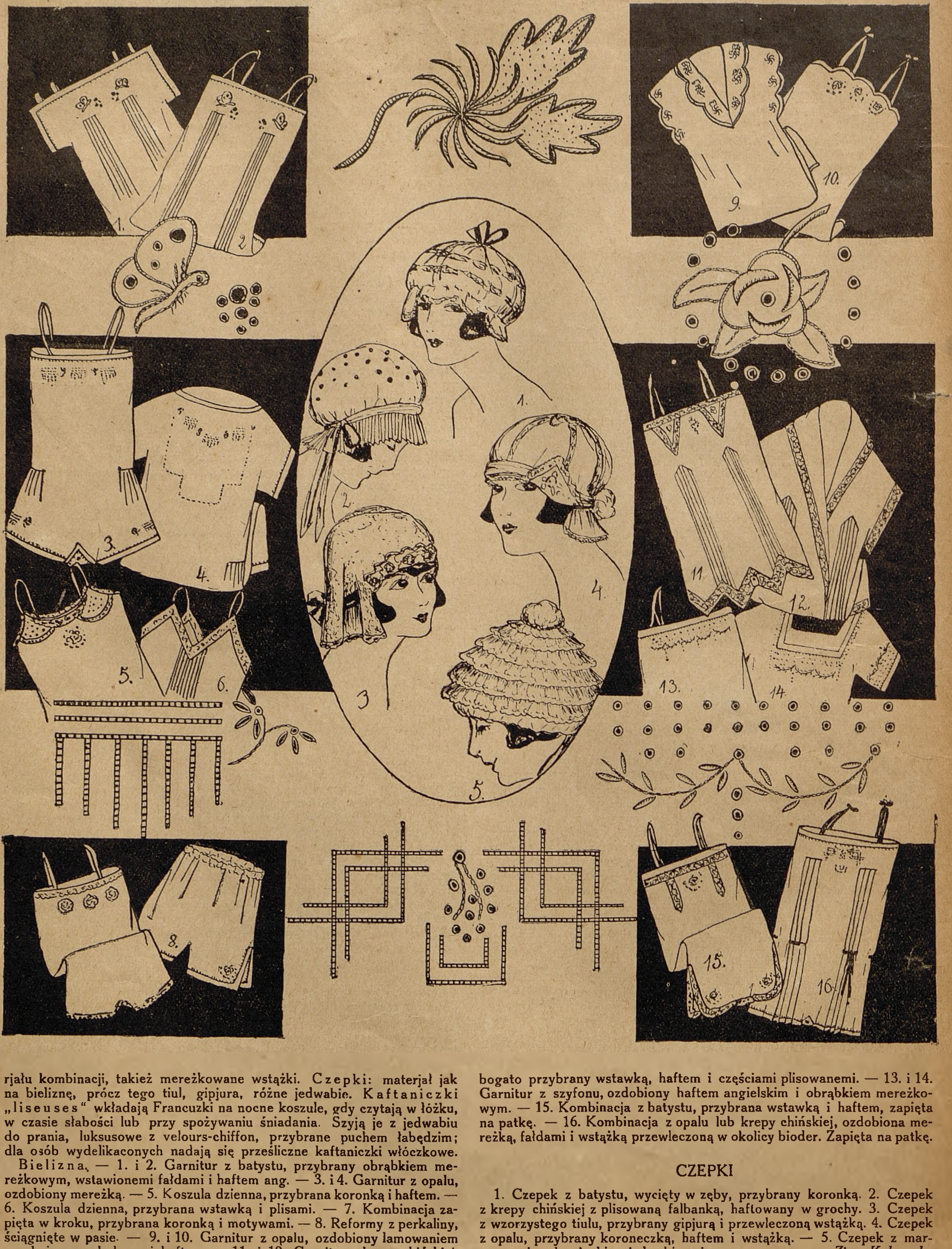
rys. 7



rys. 8

PRAKTYCZNA I MODNA BIELIZNA

W dążeniu do zachowania modnej linji bielizna została właściwie zredukowana do jednej kombinacji, która zastępuje dawną koszulę, majtki i halkę, a czasem nawet napierśnik. Koszule nocne pozostały długie, o krótkich rękawkach. Materjał używany na bieliznę: krepa chińska, opale, batysty w najrozmaitszych kolorach, perkalina, zefir, szyfon. Przybranie: koronki, haft ręczny, mereżki, motywy wykonane w różnych technikach; lamowania, aplikacje, podkładanie w odrębnych kolorach i tonach; przewlekane wstążki. Ramiączka: paski z mate-



rjału kombinacji, takież mereżkowane wstążki. Czepki: materjał jak na bieliznę, prócz tego tiul, gipjura, różne jedwabie. Kaftaniczki „liseuses" wkładają Francuzki na nocne koszule, gdy czytają w łóżku, w czasie słabości lub przy spożywaniu śniadania. Szyją je z jedwabiu do prania, luksusowe z velours-chiffon, przybrane puchem łabędzim; dla osób wydelikaconych nadają się prześliczne kaftaniczki włóczkowe.

Bielizna. — 1. i 2. Garnitur z batystu, przybrany obrąbkiem mereżkowym, wstawionemi fałdami i haftem ang. — 3. i 4. Garnitur z opalu, ozdobiony mereżką. — 5. Koszula dzienna, przybrana koronką i haftem. — 6. Koszula dzienna, przybrana wstawką i plisami. — 7. Kombinacja zapięta w kroku, przybrana koronką i motywami. — 8. Reformy z perkaliny, ściągnięte w pasie. — 9. i 10. Garnitur z opalu, ozdobiony lamowaniem w odmiennym kolorze i haftem. — 11. i 12. Garnitur z krepy chińskiej, bogato przybrany wstawką, haftem i częściami plisowanemi. — 13. i 14. Garnitur z szyfonu, ozdobiony haftem angielskim i obrąbkiem mereżkowym. — 15. Kombinacja z batystu, przybrana wstawką i haftem, zapięta na patkę. — 16. Kombinacja z opalu lub krepy chińskiej, ozdobiona mereżką, fałdami i wstążką przewleczoną w okolicy bioder. Zapięta na patkę.

CZEPKI

1. Czepek z batystu, wycięty w zęby, przybrany koronką. 2. Czepek z krepy chińskiej z plisowaną falbanką, haftowany w grochy. 3. Czepek z wzorzystego tiulu, przybrany gipjurą i przewleczoną wstążką. 4. Czepek z opalu, przybrany koroneczką, haftem i wstążką. — 5. Czepek z marszczonej walansjenki z jedwabiem i pomponem. *Zina Kulczycka*

MALOWANIE WYPUKŁE (LIWORYZOWANIE)

SZTUKA stosowana, a co za tem idzie, zastosowanie jej do strojów kobiecych, coraz to nowych chwyta się sposobów. Przed dwoma laty wszystkie panie uczyły się batików; przed rokiem, co druga, rzuciwszy w kąt „pisak" i „wosk", zajęła się malowaniem na jedwabiu. Obecnie — każda chce umieć „liworować", czyli malować wypukło. Każda moda przechodzi w manję, a na każdej manji, oczywiście, zarabia szereg sprytnych osobników. Przed dwoma laty roiło się poprostu od „profesorów" batiku — obecnie już są tacy, którzy kształcą w sztuce malowania wypukłemi farbami. Czemu bo nie zarobić, jak można? Kobieta, opętana chęcią nauczenia się tego, co modne, gotowa wydać zawsze niepotrzebnie nieco grosza... trzeba korzystać.

Naprawdę zaś, to owo kosztowne uczenie się przeważnie jest zbędne. W 5-ciu czy 10-ciu lekcjach — i za odpowiednio wysoką opłatą — dowie się każda z pań tego, czego znajoma ją nauczy w ciągu 10-ciu minut, a co równie dobrze i sama potrafi. Troszeczkę cierpliwości, odrobinkę uwagi — i trzecia część pieniędzy — a rezultat będzie taki sam.

Zaczynam od rzeczowego wykładu: Należy przedewszystkiem kupić podkład do wypukłego malowania. Jest zagraniczny i krajowy. Prócz tego zaopatrzyć się należy (na początek) w tuzin tubek z papieru woskowego (które są gotowe do nabycia) i — farby metalowe w proszku, które są w wielkim wyborze. Istnieją farby zwykłe metalowe, różnobarwne, złote i srebrne w torebkach; są dżety srebrne, złote i kolorowe, niezwykle efektowne; są drobniuteńkie łuseczki, mieniące się jak łuska rybia, są drobne pacioreczki i cekinki wielobarwne. Do kolekcji przyborów potrzebny jest jeszcze dość duży pendzel miękki (taki, jak do akwareli) i mały pendzelek, jak do farb olejnych.

Przed rozpoczęciem roboty należy ułożyć na stole arkusz papieru, gdyż farby w proszku niełatwo schodzą z powierzchni mebli.

Uczyć się najlepiej na skrawkach jedwabiu crêpe de Chine. Deseń należy delikatnie narysować ołówkiem. Na materjałach ciemnych jasną kredką. Następnie wciska się do tubki papierowej nieco owego „podkładu", ucina nożyczkami jej dolny koniec (od wielkości dziurki zależy grubość linji) i naciska lekko tubkę tak, aby pasta w niej zawarta wychodziła przez spreparowany otwór na naszkicowany deseń. Trzeba dbać o to, by ów wałeczek farby był równy, nieprzerywany i bez kleksów. Zaznaczamy cały deseń w ten sposób. O ile całe płaszczyzny mają być pokryte farbą, należy cienko — pendzelkiem od farb olejnych — pociągnąć te miejsca podkładem, a następnie, przy pomocy tej samej tubki papierowej, wykonać wypukły kontur rysunku. Gdy rysunek cały jest już gotów, macza się pendzel od farb akwarelowych (jak najbardziej puszysty) w torebce z farbą metalową i gęsto nasypuje się proszku na rysunek. O ile używamy kilku kolorów, należy pendzel przed każdą nową farbą starannie wytrzeć suchym gałgankiem. Jeżeli farba rozsypie się przypadkowo po materjale, nie trzeba się tem bynajmniej przejmować, gdyż przystaje ona jedynie do miejsc pokrytych podkładem. Gotowy rysunek należy pozostawić przez trzy doby w miejscu, w którem go nikt nie dotknie, gdyż wypukłe linje łatwo rozmazać. Po upływie tego czasu usunąć miękką szczoteczką niepotrzebną farbę. O ile malowany był brzeg materjału (np. brzeg chusteczki lub kołnierzyka), należy go delikatnie wyciąć nożyczkami; pod pokładem farby materjał strzępić się nie będzie. Dzięki temu można robić np. kołnierzyki czy chusteczki z deseniami ażurowemi, które niezwykle efektownie wyglądają.

Farby wypukłe można zastosować nietylko do jedwabiu i aksamitu. Nadzwyczaj ładnie wyglądają np. pantofelki prunelowe, pokryte srebrnym deseniem dżetowym. Nie ustępują w wyglądzie pantofelkom z lamy, a kosztują (pantofelki i farba razem) do 25 zł., podczas gdy z lamy czy brokatu sięgają 90 zł.

Obecnie modne są bardzo suknie i szale, malowane farbami dżetowemi, które mają i tę wielką zaletę, że można je prać (byle nie w gorącej wodzie), przyczem nie tracą piękności.

Przy pomocy tej techniki można tanim kosztem przyjść do efektownych przybrań i szczegółów toaletowych.

J. Kalinowska-Kopaczkiewiczowa

KSIĄŻKI NADESŁANE DO REDAKCJI

„Hollywood" W. MANDELSTAMMA wyszło nakładem Bibljoteki Dzieł Wyborowych we Lwowie, Małeckiego, 3. — Akcja powieści niniejszej rozgrywa się na tle stosunków w amerykańskiem mieście filmowem Hollywood, które jest największą na świecie centralą produkcji kinematograficznej. Autor maluje życie słynnych gwiazd filmowych i między wierszami interesującej fabuły zapoznaje czytelnika z nowoczesną techniką kinową i z życiem jej pionierów.

„Żywe powietrze" J. SOSNKOWSKIEGO wyszło nakładem Bibljoteki Dzieł Wyborowych, Lwów, Małeckiego, 3. — Sosnkowskiego czyta się jednym tchem. Pochłania osobliwością tematu i fascynującym sposobem opowiadania. Umie w artystyczny sposób wywołać zaciekawienie, przejmujący dreszcz i głębokie zadumanie się nad dziwnością życia i jego zdarzeń. Fantastyczność jego ma zawsze wzniosły, patetyczny ton. I w tym patosie tkwi znamię wielkiego, wciąż pracującego nad sobą talentu.

„Zaczarowane zwierciadło" ST. DZIKOWSKIEGO wyszło nakładem Bibljoteki Dzieł Wyborowych we Lwowie, Małeckiego, 3. Książka niniejsza zawiera zbiór baśni wybranych i opracowanych przez autora na wzorach najcelniejszych literatur europejskich. Każda baśń zawiera momenty charakterystyczne środowiska, w którem powstała. Zbiór ten tworzy całość prawdziwie artystyczną, a przytem barwną i interesującą w treści.

„Złoto" ANDRZEJA CENDRARSA wyszło nakł. Bibljoteki Dzieł Wyborowych we Lwowie, Małeckiego, 3. — Treść książki tej stanowi prawdziwa historja życia Jana Augusta Sutera, emigranta helweckiego, założyciela miasta San Francisco. Dzieje tego człowieka zawierają w sobie momenty przedziwne i paradoksalne. Złoto odkryte w jego ziemi uczyniło go nędzarzem; złoto stało sięprzyczyną śmierci w łachmanach i obłąkaniu. O tym nieprawdopodobnym paradoksie opowiada książka ta, w sposób naprawdę fascynujący. *k.*

MATKOWSKI-BORKOWSKA: *Słownik encyklopedyczny francusko-polski i polsko-francuski.* Tom pierwszy francusko-polski. Zeszyt I—III: A — biconcave. Księgarnia Polska B. Połonieckiego we Lwowie. 1927.

Po słowniku Janusza, wydanym w roku 1870 a od dłuższego czasu wyczerpanego, nie ukazał się żaden słownik francuskiego i polskiego języka, oparty na podstawach naukowych. Słownik powyższy, owoc długoletniej pracy wybitnych fachowców, stosuje nowoczesne zasady leksykograficzne i uwzględnia potrzeby szerszej publiczności jako też szkół, sfer naukowych, handlowych itd.

Słownik wychodzi w zeszytach, co ułatwia nabycie.

CZARNOTA J. K. *Kuchnia jarska.* Księg. Polska B. Połonieckiego we Lwowie.

Mniej mięsa, więcej jarzyn, legumin, potraw owocowych — oto hasło dzisiejszej higjeny. Że taka dieta może być co najmniej tak samo smaczna i urozmaicona, jak zwykła mięsna, to dowodzi doskonale książka p. Czarnoty, słynnego gastronoma, znanego z długoletniej działalności w Kosowie. Książka ta jest cennem uzupełnieniem każdej innej książki kucharskiej.



DOBRA GOSPODYNI

Witaminy. W ostatnich czasach pisze się dużo o witaminach, jako o najważniejszych składnikach naszego pożywienia, bez których niema pełni zdrowia. Przez nieodpowiednie gotowanie zostają potrawy pozbawione witaminów; dlatego więc skrajni zwolennicy nowego sposobu odżywiania polecają, o ile tylko to możliwe, spożywanie potraw surowych. Jednakowoż niekażdy organizm znosi takie pożywienie. Dlatego powinno się także w wprowadzaniu tej życiodajnej energji do organizmu zachować miarę i ograniczyć się do małych zmian w sposobie gotowania i układania menu.

Ponieważ w naszym klimacie wypiekanie chleba w żarze słonecznym jest niemożliwe, musimy — jakkolwiek apostołowie nauki o witaminach żądają tego sposobu — ograniczyć się do częstszego spożywania chleba razowego, albo z mąki zupełnie niepytlowanej, a więc zawierającej całą łupinę ziarna, gdyż ona to właśnie zawiera witaminy. W handlu mamy chleb taki pod różnemi nazwami, jak: chleb Grahama, Simona, p a i n d é l i c e i chleb Delicja, pumpernickel i różne inne.

Niektóre jarzyny powinno się jadać w stanie surowym, a jeśli się je gotuje, nie odlewać wody, gdyż w niej właśnie są zawarte sole odżywcze i witaminy. Gdy przyprawiamy sałaty, nie należy parzyć listków, ani solić i odlewać soku. Do zup i gotowanych jarzyn dobrze jest na wydaniu dodać drobno posiekaną zieloną pietruszkę i koperek.

Szczypiórek, cebula i czosnek zawierają, w stanie surowym, witaminy w dużych ilościach, tak samo pomidory i kapusta. Kwaśne ogórki i kapusta kwaszona surowa mają wielkie znaczenie dla naszego pożywienia, gdyż kwas ich zawiera podobne bakterje, jak kwaśne mleko, yoghurt i kefir, niszczące bakterje chorobotwórcze w naszym przewodzie pokarmowym. Dlatego dzieci, posiadające jeszcze niewypaczony instynkt, tak chętnie piją ten kwas. Nie trzeba im tego zabraniać, jak również picia surowego barszczu i jedzenia surowej marchwi, która, jak czosnek surowy, zapobiega mnożeniu się robaków.

Surowe mleko, śmietanka i kwaśna śmietana zawierają w dużej ilości witaminy, które zbyt długie gotowanie niszczy. Dlatego należy ogrzewać je do temperatury 70° C, albo, jeśli mają być koniecznie gotowane, sprażyć na silnym ogniu i zaraz odstawić, gdyż powolne ogrzewanie również niszczy witaminy. Gdy dodajemy kwaśnej śmietany do potraw, możemy to uczynić w ostatniej chwili przed wydaniem, ażeby śmietana nie zakipiała. Tak samo można dodawać surowe masło, które pozatem bardzo poprawia smak. Masło i oliwa, jako bogate w witaminy, powinny zastąpić inne tłuszcze w kuchni. Zamiast octu należy używać soku cytrynowego, gdyż kilka kropel cytrynowego kwasu dziennie może, w braku innych, zastąpić potrzebne dla organizmu witaminy.

Z owoców najwięcej witamin zawierają pomarańcze i cytryny, inne owoce mieszczą je głównie w łupince, dlatego należy je spożywać nieobrane.

Zbyt szczupłe miejsce nie pozwala wyczerpująco opracować ten temat. Ograniczamy się więc do tych kilku wskazówek i do podania niektórych przepisów łatwych i możliwych do wykonania w naszych warunkach.

Chleb pieczony na sposób wschodni, zawierający witaminy. Jeśli chce się mieć mąkę świeżą, zawierającą aromat i witaminy, najlepiej mleć pszenicę samemu na odpowiednim młynku (sic). Chleb ten piecze się bez drożdży i kwasu, a udanie się jego zależy od dokładnego przestrzegania przepisu. Mąkę należy zemleć z całego ziarna, nie za drobno, żeby chleb był pulchny. Na 1 litr letniej wody należy brać łyżkę soli, 2 łyżki cukru, 1 łyżkę oliwy, po zamieszaniu wsypać tyle mąki, by powstało gęste ciasto, które można wymiesić drewnianą łyżką, długo i dokładnie. Następnie trzeba nakryć naczynie serwetą i postawić w chłodnem miejscu na 6 godzin. Można zaczynić ciasto wieczorem, a na drugi dzień rano piec, ale należy je w chłodzie umieścić, żeby przez noc nie skwaśniało. Przed upieczeniem powinno się ciasto miesić przez pół godziny, dodając potrochę mąki bardzo drobno mielonej albo trochę pytlowanej, aż ciasto stanie się gęste i elastyczne jak guma. Następnie napełnić niem gliniane albo żelazne polewane naczynia, dobrze wysmarowane oliwą i opatrzone w szczelne pokrywy. Nad ciastem powinna być $1/3$ naczynia wolna, bo ciasto tyle urośnie. Wsunąć naczynia z ciastem do pieca niezbyt gorącego i piec przez 4 godziny. Do 3 godzin nie można naczyń ruszyć, by ciasto nie opadło. Do kąta pieca można postawić małe naczynie z wodą, żeby chleb zanadto nie wysechł. Po upieczeniu wyjąć z naczyń i zawinąć do mokrej serwety na 2 minuty,

by skórka zmiękła. Następnie zawinąć w naoliwiony papier i przechowywać w kamiennym garnku owiązanym papierem. Taki chleb można przechować 2—3 tygodni w stanie świeżym. Z powodu braku drożdży i innych środków fermentacyjnych doskonały dla osób chorych na żołądek i jelita.

Sałata z surowej kapusty. Małą główkę kapusty, białej albo czerwonej, poszatkować drobniutko, posolić, dodać trochę cienko pokrajanej cebuli, trochę pieprzu, oliwy i soku cytrynowego do smaku. Czerwona kapusta szczególnie dobra przy anemji.

Sałata z kwaśnej kapusty. Surową kwaśną kapustę rozluźnić widelcem, dodać dużo cienko poszatkowanej cebuli i trochę oliwy.

Sałata z kwaśnej kapusty mieszana. 4 ugotowane kartofle pokrajać w talarki, dodać 4 łyżki poszatkowanych, ugotowanych czerwonych buraków, 3 łyżki ugotowanej fasoli i 6 łyżek kwaśnej surowej kapusty. Wymieszać wszystko dobrze, dodać soku cytrynowego, soli, pieprzu i oliwy do smaku.

Sałata z surowych jarzyn. Utrzeć dwa czerwone buraki, jedną brukiew i dwie marchewki. Dodać soli i soku cytrynowego do smaku.

Sałata z owoców. 3 pomarańcze obrane ze skórki pokrajać w cienkie plasterki, tak samo 6 jabłek wydrążonych, ale nieobranych. Układać warstwami w kompotierze, a każdą z nich przesypywać mielonemi orzechami i cukrem. W godzinę po przyrządzeniu można podać.

Sałata z fig. Zemleć 6 fig, 1 daktyl i 2 suszone śliwki, dodać 2 łyżki zmielonego chleba świętojańskiego i sok z 1 pomarańczy.

Krem z maku. Zemleć po łyżce maku, orzechów włoskich i laskowych, zalać $1/4$ litrem słodkiej śmietanki, wymieszać, dodać cukru do smaku i soku z pomarańczy. Po godzinie podać.

Krem z jabłek. Zemleć 2 jabłka z 2 łyżkami rodzynek i orzechów włoskich. Wymieszać i osłodzić miodem. Można dodać trochę gęstej śmietanki.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Redakcja udziela porad kosmetycznych i gospodarskich; w sprawie sztuki indywidualnego ubierania się, urządzania wnętrz mieszkaniowych i innych; przyczem prosi o wyraźne, czytelne pismo w listach z pytaniami. — Na koszta odpowiedzi prosimy nadsyłać 20 gr. W miarę możności prosimy podawać swój adres. Recepty po 1 zł. — Osobiste odpowiedzi w kwestjach kosmetycznych nadsyłamy po otrzymaniu kwoty 1 zł za każde poszczególne pytanie. — Przy zamawianiu recept kosmetycznych należy zawsze podać rodzaj cery: 1. sucha — 2. tłusta — 3. skłonna do wyprysków — 4. wrażliwa. — Godziny przyjęć w redakcji: 12—13. Tel. red. 48-34.

Redakcja „Świata Kobiecego" zwraca Szan. Czytelniczkom uwagę, że podawanie recept lub środków leczniczych w artykułach kosmetycznych nie równa się obowiązkowi udzielania informacyj o cenach tychże i o źródłach zakupu. Nie możemy znać wszystkich firm i aptek w całej Polsce, a zarazem wiedzieć, co posiadają na składzie i w jakiej cenie.

Szarotka. — Tak obszernej odpowiedzi, jakiej wymaga list Pani, nie możemy umieścić w druku. Prosimy o dokładny adres.

St. B. — Kartkę Pani otrzymaliśmy już po ukazaniu się nr. 4 Ś. K. Ażeby móc udzielić wyczerpujących informacyj, musimy wiedzieć, o jakiego rodzaju płaszcz chodzi: sportowy, jedwabny, czy wieczorowy.

Ze wsi. — Dokładny adres M. R. poda Pani „Zawodowy Związek Literatów, Warszawa, Bracka 5. — Firma Gurgul nie posiada filji we Lwowie.

J. W. P. — L' Oreal nabyć można u pierwszorzędnych fryzjerów, jak również w składach aptecznych w każdem większem mieście. Pismo nasze nie prowadzi działu komisowego, wskutek czego nie może dostarczyć Pani żądanego środka. Cena waha się pomiędzy 6—10 zł., zależnie od wielkości flakonu.

Strapiona 10. — W przypadku opisanym przez Panią należy udać się bezzwłocznie do lekarza. Odradzamy energicznie stosowanie środków domowych, polecanych prywatnie i bezkrytycznie. Co zaś do porad redakcji, udziela ich ona jedynie w drobnych usterkach kosmetycznych, nigdy zaś w przypadkach chorobowych.

Postępowa. — Istotnie, poprawianie kształtu brwi jest obecnie *en vogue*. Polega na zwężeniu i skróceniu ich naturalnej linji; dokonywane w instytutach piękności na drodze epilacji. Golenie daje efekty bardzo brzydkie i drażni naskórek. Stosowanie się do tak nierozsądnego kaprysu mody niema nic wspólnego z postępem, ani z odmłodzeniem. Twarz nabiera wyrazu bezmyślnego, lalkowatego i zatraca indywidualność. Jeśli Pani chodzi o odmłodzenie — radzimy postarać się przywrócić cerze świeżość, a sylwetce smukłość.

Lwowianka. — Nadesłane do redakcji podziękowanie za polecony Pani salon fryzjerski przy pl. Marjackim, którego właścicielem jest p. Seweryn, sprawiło nam żywą przyjemność. Redakcja istotnie nie poleca firm obcych, ani takich, których zalet nie zna. — W sprawie Szan. Ciotki Pani informujemy, że p. Seweryn posiada środek japoński, barwiący włosy i brwi na wyjątkowo naturalny czarny kolor. Pozatem zyskują włosy jedwabistą miękkość. Środek jest równie nieszkodliwy, jak Henna, a nie daje pod światło miedzianych połysków, jak ta ostatnia.

Jaśmina. — Na 6 pytań, z których każde wymaga szczegółowych i dłuższych wyjaśnień, nie możemy dać odpowiedzi w druku. Prosząc o dokładny adres, pozwalamy sobie zwrócić uwagę Pani, że za indywidualne porady kosmetyczne, o które musimy zwracać się do lekarza specjalisty, należy przesyłać po 1 zł.

TREŚĆ NUMERU 6-go:

Papież błogosławi (Jan Parandowski). — Ustawy małżeńskie (Jan Zamorski). — Rzeźby Józefa Starzyńskiego (Janina Kilian-Stanisławska). — Z cyklu kwiaty (Ewa Szelburg). — Pięć salw (Wacław Filochowski) — Tempo (M. Nagoda). — Czekanie (Aurelja Wyleżyńska). — Paznokcie, ich mowa, wygląd estetyczny i niedomagania (Efeb). — Jak powstaje film (Józef Mayen). — Kronika „Świata Kobiecego". — To i owo. — Z ostatnich nowości wydawniczych. — Rozrywki umysłowe. — O marjażach i sukniach ślubnych (Zofja Kramsztyk). — Roboty ręczne. — Kącik praktyczny (Zina Kulczycka). — Malowanie wypukłe (liworyzowanie) (J. Kalinowska-Kopaczkiewiczowa). — Książki nadesłane do redakcji. — Dobra gospodyni. — Odpowiedzi redakcji.

Redaktorki: **Konstancja Hojnacka, Wanda Tomaszewska.**
Wydawca: Bernard Połoniecki — Lwów. — Odpow. redaktor: A. W. Bednarski. — Adres Redakcji i Administracji: Lwów, ul. Chorążczyzna 27
Telefon administracji: 4—32. Z drukarni Zakładu Narodowego imienia Ossolińskich pod zarządem A. Wierzbickiego Telefon redakcji: 48—34.

